№ 50. Warszawa, dnia 27 Listopada (9 Grudnia) 1876 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera:—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowej lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4. W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

WSPOMNIENIE.

Pamiętasz?... sny niewinne
Serc, co uczuciem drgały?
Pamiętasz?... te dziecinne
Dusz tkliwych ideały?...
Ten pierwszy rozkwit marzeń
Wolny od życia skażeń,
Anielskim bratni snom...

Pamiętasz?... łzy gorące
Te pierwsze łzy zawodu.
Co w serce kochające
Padły jak pocisk lodu,
I myśli jęk bolesny
Gdy ją ten cios zawczesny
Rozdzierał niby grom...

Pamiętasz — gdyśmy obie,
Zbolałe i strwożone,
Po pierwszej życia próbie,
Źrenice łzą omglone,
Od świata odwróciły
I tęskniąc do mogiły
Łabędzi snuły śpiew...

Pamiętasz?... w chwili owej,
Splotłyśmy nasze dłonie,
I z dumą w tej cierniowej
Stanęłyśmy koronie,
Pobladłe nasze wargi
Szeptały słowa skargi,
Lecz obcy nam był gniew!

A potem... siostro moja,
Ty tego nie pamiętasz,
Drożyna życia twoja
Minęła marzeń cmentarz,
I dobre dla cię duchy,
Skrwawione twe łańcuchy
Zmieniły w więzy z róż.

Rozstałyśmy się z sobą —
Ty wypoczywasz błogo,
Ja, z wieczną mą żałobą
Cierniem usłaną drogą
Idę — jak tułacz wieczny
I dźwigam żal serdeczny
Za tem — co zmarło już!...

Rozstałyśmy się siostro —
I przepaść między nami —
O skał pierś twardą, ostrą,
Ocieram się ze łzami...
Różnią się dole nasze,
Jam jest wędrowne ptaszę,
Ty w gniazdku pędzisz dnie.

Lecz w smętnej dumań chwili,
W spokojnej szczęścia ciszy
Czy serce twe nie słyszy
Piosnki co żalem kwili...
Po wspomnień, uczuć fali
Dźwięczy, i błaga w dali:
Nie zapominaj mnie!

Marya Szeliga.

ZAKLĘTA KSIĘŻNICZKA.

NOWELLA

przez

J. J. KRASZEWSKIEGO.

(Dalszy ciąg).

Naprzód drzwi w kurytarzu się odemknęły, a potem słychać było witanie z podziwieniem, szastanie nogami, mruczenie jakieś, śmiech doskonale pochwycony w tonie Filipowicza, naostatek ruszyła się klamka we drzwiach, uchyliły podwoje—i—wszedł wcale niepoczesny jegomość w starym fraku i ryżej peruczce, stalowych okularach, ze starym kapeluszem w ręku.

Pomimo niepozornej postaci, musiała to być osobistość nader ważną grająca rolę i wielkiego znaczenia, gdyż pani z Villamarinich wyszła na jej spotkanie, panna Tekla i Eufrozyna wstały, pan Maks pobladł, ciocia wąchała wódkę kolońską, a Filipowicz po za przybyłym, w pół zgięty zacierał ręce.

Był to, ni mniej ni więcej — pan mecenas Borusławski.

Wszystko tłomaczy to nazwisko.

Zrana pan Filipowicz zaręczał że panna jest konsygnowana, wieczorem opiekun znajdował się w jednym salonie z kawalerem.

Położenie stało się tak krytycznem, iż tylko niezmierny takt pani z Villamarinich, jej powaga i wytrawność mogły zaradzić kompromitacyi, mogły wytłomaczyć, objaśnić, uniewinnić.

Filipowicz był szczęśliwy iż na nim nie ciążyła odpowiedzialność — robiło mu się zimno i gorąco... ciepło i chłodno... i ciemno w oczach... i nogi mu drętwiały... Zaręczył że panna była konsygnowana!!!

Pani z Villamarinich ani na chwilę nie straciła tej przytomności umysłu, która odznacza mężów stanu, niewiasty znakomite, dyplomatów i cielęta... ostatnie przez brak poczucia położenia. Wskazała fotel przy sobie panu Mecenasowi i usiadła w majestacie swym całym, opinając się mantylką, podnosząc czoło, wyzywając wszystko cokolwiek ją spotkać mogło.

Mecenas miał zresztą postać spokojną, i nawet usta nieco uśmiechnięte. Wprzódy jednak powitawszy czule pupillę, po kilku słowach zamienionych z gospodynią domu, wstał i z widocznem zajęciem zwrócił się ku pannie Tekli, która zdawała się cze-

kać na to... Popatrzał na nią i począł cichą rozmowę, z której można było wnosić iż o niczem tak bardzo ważnem nie rozprawiali.

Swobodny umysł Mecenasa, jego pogodne oblicze uspokajająco działały na panią i wszystkich otaczających, chociaż tak prędkie zjawienie się na pensyi, po rannej konferencyi z Filipowiczem, w początku groźnem się zdawało.

Gospodarz pospieszył z nalaniem mocnej herbaty i wykomenderowanie jej przed Mecenasa, w towarzystwie flaszki z rumem, cytryny, śmietanki i sucharków... P. Borusławski przyjął tylko herbatę, śmietankę i suchareczek — mimo śmiechem popartego zaręczenia gospodarza, iż kropelka rumu, bardzoby dobrze uczyniła w herbacie...

Zaczęto naturalnie dla uczynienia rozmowy dostępnej wszystkim mówić o pogodzie, o własnościach roku i o meteorologii w ogóle, jako nauce najpopularniejszej, której intuicyą przynosi z sobą na świat każdy człowiek...

Pani z Villamarinich przytaczała lata podobne, baronowa przypomniała sobie że będąc na wsi u kuzynki księżnej... doznała większych jeszcze upałów, a brat jej cioteczny hrabia... z tego powodu zachorował... i t. p.

Maks tymczasem odsadzony od panny, do której zbliżyć się nie śmiał, zużytkował wolną chwilę na przegląd ogólny rąk, kamizelki, fraka i krawata... i całej toalety, coś około niej poprawiając. Mecenas, chociaż znajdował się cicho i skromnie bardzo, choć nie zdawał się ani patrzeć ani przyglądać niczemu, oczyma biegał po saloniku, i z wprawą człowieka nawykłego do chwytania charakterystycznych znamion, rozpoznawał położenie... Widać to było z bacznych acz szybkich wejrzeń wymierzanych z kolei na osoby znajdujące się w salonie, wyraz ich twarzy i wszystko co myśli i uczucia zdradzać mogło. Jednakże po jego obliczu chłodnem, pogodnem, nieporuszonem trudno się było wrażeń domyślać. Pani z Villamarinich zapuszczała bystre swe wejrzenie w głąb Mecenasa duszy, i rozbijała się o lody, które jej powierzchnię okrywały.

Człowiek jednak tak chłodny, nie musiał, mówiła sobie, nic strasznego ukrywać.

Ale po co tu przyszedł wieczorem, i właśnie naówczas, gdy panna która miała być konsygnowaną, znajdowała się w jednym salonie z kawalerem?? Pani układała już w myśli, jak ten szczególny zbieg okoliczności miała wytłomaczyć, gdy Mecenas, jakby od niechcenia, skończywszy herbatę, pochylił się ku Filipowiczowi, który już ręce pod połami trzymał i szepnął mu, że chce z nim pomówić na osobności...

Filipowicz znalazł się w położeniu tak trudnem, iż nie przypominał, sobie ażeby w życiu dwa razy trafiło mu się przepływać między taką Scyllą a Charybdą. Nie mógł odmówić Mecenasowi a byłby dał niewiedzieć co, ażeby na jego barki nie spadło coś... z czego by się nie umiał wywinąć... Przychodziło mu na myśl, że mógł bąka strzelić i być przez surową żonę pociągniętym do odpowiedzialności — wątpił o siłach swych... a nie wypadało mu wezwanemu, odsyłać Mecenasa do żony. Byłoby to nadto dlań upokarzającem. Stał więc uśmiechnięty, osłupiony — wahający się, gdy żona surowem wejrzeniem posłyszawszy wezwanie, nakazała posłuszeństwo...

Filipowicz z gracyą ujął pod rękę Mecenasa i sam nie wiedział już jak wprowadził go wprost do ogromnej, pustej w tej chwili, sali sadalnej. Tu jedna smętna świeczka łojowa paliła się w kącie na stole, bo się takich gości nie spodziewano, co gorzej, oprawna była w lichtarz mosiężny, zielony od rdzy i cały oblany łzami innych świec, które na łono jego wylane zostały... Pensya i porządek w niej były fatalnie skompromitowane, Filipowicz jednak starał się lichtarz sobą zasłaniać, a spodziewał się że ważną zajęty rozmową Mecenas, tego szczegółu nie dostrzeże... Na Dorotę za ten lichtarz miała spaść kara, okropna burza i skwapliwe wyrzuty.

Tymczasem gospodarz śmiał się i patrzył Mecenasowi w oczy usiłując zbadać czy wolałby usiąść czy używać po salonie przechadzki. Pan Borusławski na przekorę Filipowiczowi, któryby był wybrał miejsce niedozwalające dojrzeć lichtarza obwinionego, wolał chodzić — i biedny administrator skazany został na manewrowanie plecami tak, aby widok na łojowe łzy zasłaniały.

— Przybyłem do państwa — odezwał się Borusławski... wcale niespodziewanie. Złożyło się szczególnym wypadkiem, że właśnie dziś miałem zręczność mówienia z osobą, czyli z osobami, których los panny Tekli najmocniej obchodzi...

— A! otóż to jest! przerwał Filipowicz— otóż to— jak się zowie... tego...

I połknął resztę, łojowa świeca go dusiła, jej widok odejmował mu przytomność umysłu.

— Wprawdzie osoby te, to jest osoba ta... począł dalej Borusławski.

— Wszystko jedno — jak się zowie—zamruczał Filipowicz, co ma być tajemnicą, niech nią pozostanie... zakryte, zakryte, zasłonione... i tego...

Borusławski mówił dalej.

— Jest życzeniem osób tych, ażeby mogły, nie będąc widziane, widzieć tego pana Maksa Rabsztyńskiego. Fizyognomija wiele znaczy.

Nie przesądzając co powie panna Tekla, a nawet co i jak bliższe rozpatrzenie się w charakterze, położeniu i stosunkach tego pana... wskaże opiekunom .. chcianoby zobaczyć naprzód jak wygląda, wyda się to śmiesznem, dziwacznem.

— Ale by — by — bynajmniej — przerwał Filipowicz — ale by... tego, jak się zowie, najmniejszej rzeczy. Mają prawo zupełne, kompletne, istotne, rzeczywiste, jak się zowie...

Borusławski wyczekał, a gdy się w Filipowiczu uspokoiło, mówił dalej znowu.

— Proszonym jest więc pan Maksymilijan Rabsztyński, ażeby — był łaskaw znajdować się na mszy świętej, w niedzielę, w kościele Dominikanów.

— A! za pozwoleniem... na której? zagadnął Filipowicz — mamy, jak się zowie, primaryę, wotywę, sumę, nie licząc pomniejszych.

— Może się na sumie znajdować — rzekł Mecenas.

Filipowicz zatarł ręce, w tej chwili zapomniał nawet o świecy łojowej, tak mu się to co usłyszał wydało szczęśliwą wróżbą... Na chwilę nie powątpiewał że urocza powierzchowność pana Maksa musiała jak najlepsze, zwycięzkie uczynić wrażenie.

Oprócz tego, cieszyło go, że rozmowa wzięła obrót taki, który go uwalniał od wszelkiej odpowiedzialności, brał do zreferowania okoliczność mu powierzoną. Umysł jego tak się nawet jakoś rozkołysał i rozbudził, że wpadł *proprio motu* na myśl, na szczegół, o którym bystry i przebiegły Mecenas zdawał się zapominać, pomimo że stanowiła wielkiej wagi dodatek do umowy.

— Ja to tedy — jak się zowie, wiernie i ściśle odniosę, gdzie należy, rzekł Filipowicz, na chwilę nie wątpiąc iż warunek przyjętym zostanie. Lecz, dodał tryumfująco — sam pan dobrodziej uznasz, iż trzeba obmyślić znak, po którym ma być pan Rabsztyński poznanym... przez te osoby lub osobę, która się losem panny Tekli zajmuje. Aa! widzi pan.

Uśmiechnął się Mecenas.

— Masz pan słuszność — po kolorze krawatki naprzykład...

— A! jak się zowie, przerwał za ręce chwytając i o łojówce zapomniawszy bystry Filipowicz—a—jeżeli znajdą się dwie krawatki jasnobarwne.

— Złóżmy więc znamiona — rzekł śmiejąc się Mecenas, któremu cała ta historya widać śmiechu się godną wydawała — krawatka... taka... rękawiczki... takie... i w ręku jedwabna chustka oznaczonego koloru.

Filipowicz puścił się do drzwi salonu w zapale. Zaraz wracam.

Zapomniał że Mecenasa sam na sam z łojówką zostawił, tak był przejęty!

— Idziesz pan do salonu — odezwał się Borusławski, proszęż przysłać tu pannę Teklę, na krótką rozmowę ze mną.

Stało się jak chciał, gospodarz znikł niosąc z sobą szczęśliwą wieść żonie, a panna Tekla żwawo biegła do napół ciemnej salki.

Choć rzadko widywała opiekuna, i mało miała zręczności poznać go bliżej, panna Tekla miała w nim zaufanie, szacunek dlań, wdzięczność i był to może jeden człowiek z otaczających ją, którego czuła wyższość i instynktowo oceniła charakter... Ile razy się z nim spotykała, szczęśliwą była, iż z nim otwarcie, szczerze pomówić mogła, witała go zawsze twarzą wesołą. I teraz wbiegła uradowana że ją wezwał na poufną rozmowę.

— Jakże mi się ma panna Tekla? spytał biorąc ją za obie ręce Mecenas — wyglądasz ślicznie...

— A! zdrowa jestem — i o ile dobrze gdzie być może, jest mi bardzo... dobrze...

Westchnęła.

— Cóż to westchnienie znaczy? mówił poważnie Borusławski, odprowadzając ją zwolna ode drzwi salonu. Cóż mi powiada Filipowicz, o jakimś panu... jakże się zowie! Rabsztyńskim...?

— A! śmiało podnosząc oczy odezwała się panna Tekla, cóż o nim mógł mówić pan Filipowicz?

— No — to się łatwo domyśleć — że się o pannę Teklę chce starać, że się w niej kocha... dał mi też po trosze do zrozumienia, że panna patrzy nań okiem dosyć łaskawem.

Zimno i spokojnie uśmiechnęła się zagadnięta, ruszając białemi ramionami.

— Ja wcale nie mam ochoty na niego patrzeć — odezwała się szczerze panna Tekla.

— A! to znowu co innego—mówił Mecenas, zmienia to nieco postać rzeczy... Ale, pozwolisz się spytać, czy — gdyby z innych względów partya się wydała stosowną, bo o zamążpójście dobre nie łatwo — a za mąż pójść przecie trzeba, żeby samą nie zostać na świecie — czy — w takim razie... wstrętu byś panna nie miała? Jakże?

Panna Tekla pomilczała nieco.

— Proszę pana Mecenasa — wstręt... rzekła spokojnie, nie mogę powiedzieć ażeby wzbudzał we mnie, ale sympatyi najmniejszej. Przyznam się opiekunowi, że mi się wydaje... trochę dziecinnym, trochę płochym...

— A! a! odparł Mecenas — to dobrze wiedzieć. Lecz, między nami, kochana panno Teklo — jeżeli innych wad nie ma, imię poczciwe, majątek dostateczny...

Panna Tekla spuściła oczy.

— Czyż to tak pilno wydać mnie? spytała.

— Nic a nic—uczynisz jak będziesz wolała, mówił Borusławski, ale jesteś sama — położenie smutne, które w tej chwili zmienić się nie może... To siedzenie na pensyi — nie jest miłe... czas by już z niej wyjść — gdzież, dokąd i samej?

Łzy się zakręciły w oczach biednej sieroty.

— A! mój drogi panie, rzekła, czyżem ją na wieki skazana żyć w tem osamotnieniu i ciemności? Czuję nad sobą dobroczynną, opiekuńczą rękę, a ta nie chce, nie śmie czy nie może mi ię łać acałować

i oblać łzami!! Maż tak na wieki być? A! toby było nad wszelki wyraz okropne, smutne, bolesne. Jabym nigdy nie mogła być szczęśliwą...

Schwyciła rękę Mecenasa i poczęła łzami ją oblewać, Borusławski starał się ją uspokoić.

— Wierz mi panno Teklo, rzekł, że to co się dzieje z tobą, jakkolwiek przykrem być ci może, dla twojego dobra się czyni... a gdy przyjdzie chwila w której — bez szkody dla niej, tajemnica odsłonioną być będzie mogła, ani chwili dłużej ci co cię kochają — nie zostawią cię w tem smutnem położeniu...

To mówiąc ścisnął jej rękę... cały przejęty i smutny... Tekla ocierała łzy.

— Męztwa potrzeba i cierpliwości — dodał — wszystko to, mam nadzieję, dobrze się skończy. Tymczasem wielki ciężar mi spadł z serca, słysząc że panna moja kawalerem się *nie* zajęła. To lepiej, to stokroć szczęśliwiej. Zobaczymy więc i z zimną krwią wyważemy wszystko... Proszę tylko pamiętać o tem, że pozycya na świecie potrzebna... i że — zamążpójście dla osoby niemającej rodziny... nadzwyczaj ważnem się staje, dając jej to właśnie na czem jej zbywa.

Tekla westchnęła po cichu, z rezygnacyą, nie odpowiadając nic.

Właśnie Filipowicz po cichu drzwi uchyliwszy badał czy już wnijść może, nie przerywając rozmowy, gdy Mecenas nań skinął, a panna pożegnawszy go wejrzeniem serdecznem, wymknęła się drugiemi drzwiami.

— Otóż — jak się zowie — rzekł z tajemniczą miną, zbliżając się Filipowicz, stanęło na tem, krawatka niebieska ujęta pierścieniem z turkusem, rękawiczki bronzowe glansowane, chustka w ręku batystowa kafowa ze szlakiem szerokim białym... będzie Mecenas pamiętał.

— A jakże! roztargniony począł powtarzać Borusławski, krawatka kafowa, rękawiczki niebieskie, chustka... nie pamiętam...

Filipowicz w ręce plasnął z rozpaczy i ofiarował się zanotować dosyć skomplikowane oznaki, po których poznać było można pana Maksa — jakoż wprowadził Mecenasa do swojego pokoju i tu podał mu na piśmie rejestr żądany.

Borusławski schowawszy go do kieszeni, zaraz *á langlaise*, chciał się usunąć, nie żegnając nikogo i ledwie namówiony przez gospodarza, że to jego żonie wielką by przykrość uczyniło, dał się uprosić do pokazania jeszcze w salonie...

Wszedł tu jednak na krótką chwilę, wziął zaraz kapelusz, i zimno dosyć pożegnawszy wszystkich, z jedną panną Teklą rozstał się serdeczniej, szepcząc jej do ucha. Męztwa — męztwa i... ufności w Bogu! wszystko to się dobrze skończy...

Po wyjściu jego i panna Sierocińska wysunęła się do swojego pokoiku, oświadczając pannie Eufrozynie, iż ją głowa boli, i prosi o pozwolenie zostania u siebie.

Było to, prawdą rzekłszy na rękę wszystkim, bo mogli teraz obszernie i otwarcie pomówić o dziwnem żądaniu Mecenasa.

Począwszy od pani do stojącego na ostatnim szczeblu pana Filipowicza, byli wszyscy tego zdania, iż wymaganie to jak najlepiej wróżyło, że było oznaką nieochybnego przyjęcia, iż rodzice panny i Mecenas zapewne się musieli dowiedzieć co to byli Rabsztyńscy, jaką Maks miał ciotkę i t. d. i że szło jedynie o to, jak on wyglądał... Ażeby zaś mieli tak dystyngowanego młodzieńca nie ocenić, na pierwsze wejrzenie się w nim nie zakochać szalenie... a! o tem nikt nawet nie pomyślał, przypuścić nie śmiał. Dosyć mu było pokazać się by zwyciężył.

Ciocia ściskała Maksika, pani z Villamarinich rzucała nań wejrzenia wesołe, panna Eufrozyna śmiała się z radości, chustką sobie zasłaniając usta dla braku niektórych zębów i fizyognomji niezdrowej tych, które jej pozostały...

Filipowicz tak ważną w tem wszystkiem odegrawszy rolę, ręce śmiało włożył pod frak i o nieszczęsnej łojówce całkiem zapomniał. Tryumfowano. Ciocia się unosiła nad poetycznością i zagadkowością tego wypadku, tej mszy w kościele, na której obiecywała sobie być koniecznie i śledzić pilno, zdala, kto na Maksika zwracać będzie wejrzenia. Tym sposobem nawet, któż wie? przypuszczano że tajemnica się wydać może...

Maks był dziwnie zamyślony i spoważniały — szło mu rzeczywiście o rzecz ważną, czy wypadało dać się ufryzować na ten akt tak uroczysty, tak w życiu jego obiecujący być stanowczym, lub tylko pięknie uczesać i rozdzielić włosy? Lekkie ufryzowanie zdawało mu się nietylko nieszkodliwem, ale niemal koniecznem. Włosy się poetyczniej układały... nadawały fizyognomji wyraz idealniejszy...

Późno w noc za wychodzącą Ciocią i Maksikiem, drzwi kamienicy się zamknęły.

Zawczasu w niedzielę Maks się znajdował u fryzyera. Nie wyznał mu jak chwila ta była dlań ważną i wielkiego znaczenia, ale fryzyer, człowiek przebiegły odgadł przy nadzwyczajnych rozmysłach przy zwierciadle i układaniu czupryny. Dołożył też starania aby klijent jego był zadowolonym. Z wielkim stylem, elegancyą i prostotą wykonał zadanie swe artysta... z dumą na nie spoglądał... Maks w krawacie lazurowym, ujętym w wielki pierścień złocisty, w rękawiczkach dwuguzikowych obcisłych, z chusteczką kafową w ręku, z laską o gałce złocistej i misternie wyrzynanej posunął się pieszo ulicą Długą ku Dominikanom.

Dla czego wybrano ten kościół, tak mało arystokratyczny, tak zawsze pełen osób klasy nie dystyngowanej! pojąć nie mógł pan Maks i tłomaczył chyba tem, że chciano się ukrywać?

Dzwoniono na sumę, gdy się zbliżył do wnijścia. Mieszczan rozmaitego kalibru tłoczyło się mnóstwo... ścisk był wielki, a w dodatku po bokach oblegało nieznośne żebractwo... Na samej prawie drodze, dziad bez nóg, na czółenkach, z twarzą wyżółkłą, bladą, z głową wypełzłą, ręce z różańcem do góry podnosząc żebrał w niebo głosy... Napadł tak zaraz na elegancko ubranego panicza, prosząc, zaklinając, modląc aby dał choć grosik nieszczęśliwemu, piszcząc tak nieznośnie, że pan Maks zniecierpliwiony, aż się nań ofuknął! Bo jakże mógł ten głupi żebrak wymagać, ażeby ręką ujętą w dwuguzikową rękawiczkę sięgał dla niego po grosz do portmonetki... w ciasną kieszeń!

— A! nie krzyczże, trutniu jakiś! zawołał zmuszony stać dla ścisku kawaler. To nieznośne tałałajstwo... że to tego do szpitalów nie pozabierają.

Żebrak uważnie popatrzał i zamilkł.

Mieszczanin wąsaty dobył z sakwy trzygroszniak i wsunął mu go w rękę — naści mój Wojciechu — a zmówcie zdrowaś za duszę mojej żony, i nie zważaj że eleganty was do szpitala wysyłają.

— Niech mu tam Bóg odpuści... rzekł żebrak.

— A bo czegóż wrzeszczy! odezwał się zwracając kawaler... napadają formalnie ludzi... tego nigdzie nie ma tylko u nas... od czegóż są szpitale i instytucye dobroczynne...

Tak się tłomaczył Maks, zwrócony do mieszczanina, który drwiąco kiwał głową.

— A żebyś jegomość popróbował ino w szpitalu poleżeć, rzekł mieszczanin, dopierobyś coś o tem wiedział.

I splunął, a Maks odwrócił się i począł cisnąć, ale jak na tož, nie sposób było tłum przebić, a tu mieszczanin i żebrak takiemi go kłuli oczyma... i łachmany mu tak śmierdziały, a od mieszczanina wódka, że perfumowaną chustynką sobie musiał ciągle nos zatykać.

— Patrzcie no, jak temu gagacikowi śmierdzi między nami, mówił drwiąc mieszczanin do żebraka Wojciecha... a nam on też nie pachnie... Czuć go jakiemś mydłem... I począł się śmiać. Żebrak niemy, oczy wielkie wytrzeszczając ciągle się Maksowi przyglądał, ale już go wcale o jałmużnę nie prosząc, ani też się odezwał — ot tak, gawronił się na ładnego chłopaka, któremu pilno było dostać się do kościoła. Wreszcie zator ów ludzki we drzwiach jakoś się przerwał i pan Maks o mało nie padł, gdy nagle popchnięty z tyłu znalazł się w szerszej kruchcie. Tu musiał przede wszystkiem poprawić strój, ociągnąć surducik, buty otrzepać... kapelusz ująć z wdziękiem, włosy uregulować i—spojrzawszy w kościół, obrać pozycyę.

(*d. c. n.*)

ZAPYTANIE.

Gdzie się podziała,
Chwila radosna,
Gdzie uleciała,
Stu-barwna wiosna?

Gdzie serca bicie,
Wdzięczne uśmiechy,
Młodzieńcze życie,
Słodkie uciechy?

Gdzie marzeń tyle,
Rozkosz złudzenia,
Gdzie szczęścia chwile,
I upojenia? —

Gdzieżeś przeszłości,
Gdzie szukać ciebie,
W grobie wieczności,
Czy w pięknem niebie?

Eliza R.

WRAŻENIA Z PODRÓŻY
po Szwecyi i Norwegji.

przez Alberta Vandal.

(Streszczone przez J. B.)

(Dalszy ciąg).

II.

Sztokholm.

Przed pięćdziesięciu laty, pewien dyplomata rezydujący w Sztokholmie, wyjeżdżając zażądał pasportu do Europy: słowa te większą wyrządzały niesprawiedliwość Szwedom niż Szwecyi. Wśród naszej, codzień więcej amerykanizującej się Europy, Szwedzi przechowali tradycye naszych starych arystokratycznych społeczeństw, tradycye pełnej godności grzeczności, rycerskiej prawości i, że tak powiem dystyngowanej gościnności. Szwecya przeciwnie z pierwszego wejrzenia przedstawiła się nam jak ląd zupełnie nowy, gdy stojąc na pomoście okrętu na którym powiewał pawilon Wazów, ujrzeliśmy

stopniowo ukazujące się jej wybrzeża i coraz wyraźniej rysujące się szczegóły krajobrazu krainy zbliżającej się do nas.

Zbliżając się ku zatoce, ku temu przyrodzonemu portowi na piaszczystem wybrzeżu, zdawało nam się że widzimy porozrzucane pudełka najrozmaitszych farb; różnobarwne punkciki, mające zdala kształt i wielkość kości do grania, pokrywające wybrzeże. Już to skupiają się gromadnie, już rozlatują po brzegach; niekiedy znowu ciągną się w prostej linji, jakby pomniki jakiegoś lilipuckiego ogrodu, powiedziałbyś tabliczki cynobru, błękitu i żółtej ogry. Po większem zbliżeniu poznaliśmy że to domki szwedzkiego miasta.

Na północy Baltyku, z wyjątkiem niektórych stolic i miast głównych, nigdzie nie stawiają domów z kamienia; budują je z drzewa, o jednem piętrze, w kształcie przedłużonego czworokątu, a ściany pomalowane niedokwasem żelaza na żółto, niebiesko a szczególniej na czerwono i lakierowane corocznie, zawsze pięknym jaśnieją połyskiem. Ta pstra mieszanina kolorów bawi oko, ale nie zaleca się gustem.

Przybyliśmy do Malmoë, skąd mieliśmy udać się na dworzec kolei żelaznej. Drogi żelazne nie zbyt dawno zostały zaprowadzone w Szwecyi, przedtem odbywano podróże miejscowemi ekwipażami, noszącem nazwę *kariolek*. Zkąd nadano francuzką nazwę oryginalnym, czysto krajowym powozikom, dojść niepodobną. Obecnie południowa część półwyspu poprzeżynana jest w różnych kierunkach kolejami żelaznemi, kariolka wyemigrowała na północ, tam się z nią spotkamy. Na dworcu kolei w Malmoë, wędrowny jakiś kramarz ofiarował nam rodzaj cacka wyobrażającego kariolkę w maleńkich rozmiarach; jest to mały fotel o dwóch kołach, opartych na drągach. Schowawszy kariolkę do kieszeni, wsiedliśmy do wagonu.

O kilka mil od wybrzeży zaczynają się lasy ciągnące się aż do Sztokholmu: roślinność Północy zaczyna się objawiać w tym poważnym wdzięku. Dęby i buki rzadko kiedy się pokazują, przeważnie królują sosny, tak piękne i wyniosłe iż nasze zaledwie je przypominają. To drzewo Północy strzela tu prosto ku niebu i dosięga nadzwyczajnej wysokości; pień jest nagi, silny i wysmukły wierzchołek wieńczą kiście cennej zieleni, którą słońce przebija tysiącami złotych odbłysków. W pośród ciemnych pni sosnowych odbijają wybitnie blade gdzie nie gdzie rozrzucone brzozy, niby białe nitki w zaczynających siwieć włosach.

W lasach tych jeziora zastępują polanki; przez długie godziny pędzimy wśród lesistych wybrzeży, których zakręty znikają i gubią się w odległych perspektywach; często wagony przesuwają się po wązkiej drodze, wijącej się pomiędzy dwoma jeziorami. Co przeważa w tych krajobrazach, woda czy ziemia, czy przebywamy morze zasiane wysepkami czy zalaną dolinę, z pośród której tu i owdzie wyłaniają się łańcuchy wzgórz? Na to odpowiedzieć nie umiem. Nie żądajmy od tych płynnych powierzchni poetycznych zarysów jezior lombardzkich, nie szukajmy tu czarownych odblasków Jung-Frau lub Rugji, ani tych tak nazwanych przez Byrona czarnych jezior Szkocyi. Jeziora północy, otoczone lasami kąpiącemi w nich ciemne swe gałęzie, zasiane zieleniejącemi wysepkami, zapożyczają od obłoków jakie odbijają się w nich, zimnego i metalicznego blasku lub niebieskawej przezroczystości, jak przezrocza szczelin roztwierających się w łonie lodników. Z początku widok taki zajmuje nowością, następnie ciągła jednostajność powinnaby znużyć wędrowca; nie można jednak oderwać oczu od tych monotonnych prawie krajobrazów, gdyż z owych wód milczących z owych posępnych cieni i miękkich zarysów, wydobywa się jakiś powab tajemniczy, nieprzepartą ku sobie pociągający siłą. W Szwecyi południowej przyroda Północy nie objawia się jeszcze w całej pełni swej wspaniałości, już jednak nęci ku sobie; nie będąc jeszcze tak piękną, posiada już urok, i każe się lubić zanim uwielbiać ją zaczniemy.

Od czasu do czasu pociąg się zatrzymywał, i dźwięczne nazwy Falköping, Jonköping, Nassjo obijały się o nasze uszy. Na stacyach wszyscy wysiadają, gdyż na każdej znajduje się bufet, a bufetu żaden Szwed nie minie, chociażby miał spożyć z półtuzina śniadań i podwieczorków, między objadem a wieczerzą. Wchodzimy do ogromnej sali, przystrojonej krzewami i egzotycznemi roślinami; nie ma ani jednego krzesła tylko w środku stoi wielki stół na którym zastawiona jest jakby Lukullusowa uczta. Wszystkie dania są jednocześnie zastawione: widzimy tu potrawy wszelkich narodowości, półmiski najrozmaitszych rozmiarów a na nich kawior, śledzie wędzone, łosoś świeży pokrajany w maleńkie plasterki, polędwica urządzona na francuzki sposób, kotlety z łosia, szczupak z jeziora Wenerni zupa piwna którą Szwedzi rozkoszują się na wety. Na środku stołu wznosi się olbrzymia pękata amfora, w której mieści się do koła szereg kurków; za lekkiem naciśnięciem któregoś z nich wytryskuje strumień wódki, *kwasu* lub *pomeransu*. Obok głównego stołu stoją pułeczki na których leżą stosy widelców, piramidy talerzy i noży; każdy bierze czego mu potrzeba, je i pije co i wiele chce; nikt na to nie zwraca uwagi, nikt nie wydziela homeopatycznych porcyjek. Wszyscy jedzą stojący; przy wejściu do sali płaci się riksdala, i wolno już za to jeść choćby ze wszystkich półmisków.

Nie spełna rok temu, pociągi idące z Malmoë do Sztokholmu, za nadejściem nocy zatrzymywały się na najpierwszej stacyi i tam w otoczeniach stacyjnych nocowali razem, czyli raczej obozowali, maszyniści, urzędnicy, służba i podróżni. Lokomotywa i ludzie odpoczywali przez kilka godzin. Nazajutrz świst pary przerywał sen i w dalszą puszczano się drogę. Dziś koleje skandynawskie idą we dnie i w nocy, nie obawiając się niebezpiecznych spotkań ani nawet tych duchów których zabobonni mieszkańcy Północy, widują niby wieczorem przesuwających się lekko po zwierciadłach jeziora.

Z resztą podróżowałem właśnie podczas najdłuższych dni, kiedy w okolicach północnych prawie nie ma nocy. Godzina dziesiąta słońce pochyla się na horyzoncie. Pod ciepłym kolorytem wieczoru, krajobraz pięknieje, niebo się zaognia, jeziora błyszczą jak roztopione złoto. Blask taki trwa przez dwie godziny; nareszcie słońce niknie, ale ciemność nie następuje po niem. Dziwny, nieokreślony zmrok zapada do koła, jakby szarą zarzucając zasłonę; wszelkie przedmiota skąpane w jednostajnym świetle, rysują w profilu swe kontury, ale nie rzucają cienia: pozbawione pozoru wypukłości, przesuwają się przed naszemi oczami jak wycięte sylwetki lub przedstawiają się jak cienie błąkające w fantastycznej atmosferze, w białych otchłaniach w jakich Dante pomieścił dusze bohaterów pogańskich. Wtedy niebo przybiera koloryt szaro-perłowy i przezroczystość opalu; brzegiem horyzontu czołgają tęczowe obłoczki, to tylna straż zachodu i przedświt jutrzenki. Gra światła nie zakłóca przezrocza wód; jeziora, niby metalowe zwierciadła odbijają pochylone ku ich brzegom lasy. Niebo i woda przybrały teraz jednaką barwę, jednakie wejrzenie; dwie te niezmierzoności zdają się zlewać z sobą, czyli raczej niknąć jedna w drugiej. Zdaje nam się że przesuwamy się w próżni; do koła wysepki pokryte sosnami unoszą się w przestrzeni niby czarne masy, niby nieokreślone kształty, dotykając prawie niekiedy ciągnącej nas maszyny, jakby olbrzymie jakie ptaki muskające ją swem skrzydłem.

Wkrótce otaczający świat przedstawia mi się jakby olbrzymie koło, którego obrotowi ja przyglądam się nieruchomy. Okolice się zmieniają, rzeki i góry pojawiają się i znikają, lasy uciekają galopem. Głośny świst budzi mnie z zadumy: „Sztokholm"! krzyknął ktoś, tym akcentem międzynarodowym, jakim odznaczają się wszystkie koleje. Pociąg staje przed dworcem; jesteśmy w stolicy Gustawa Adolfa i Karola XII-go.

Nie dalej jak przed dziesięciu laty, morzem tylko można się było dostać do Sztokholmu: podróżni wysiadali z okrętu naprzeciw pałacu królów szwedzkich. Wówczas w Sztokholmie nie było hoteli; codziennie pewna liczba urzędników lub mieszczan zajmujących się małym handlem przychodziła do portu, każdy zabierał i prowadził do siebie jednego podróżnego, i za bardzo małe wynadgrodzenie dawał mu mieszkanie i życie. Śmiała przedsiębierczość pewnego Francuza zmieniła ten zwyczaj i zakłóciła patryarchalne obyczaje, które już tylko spotykamy w północnej Szwecyi. Stary kucharz Bernadotte'go obdarzył Sztokholm francuzkim hotelem; sam brak rzeczywistego współzawodnictwa, zapewniał mu powodzenie. Dorobiwszy się majątku, zapragnął zostać milijonerem; wybudował ogromny hotel ze złoconemi salonami, gdzie służba strojna w białe krawaty mówi wszystkiemi językami. Jest to, po pałacu królewskim, najwspanialszy gmach w Sztokholmie.

Gościnny ten przybytek wznosi się naprzeciw wielkiego placu, z którym łączą się główne arterye stolicy. Ale trzeba wiedzieć że w Sztokholmie place są to jeziora, a ulice to morskie odnogi. Mamy przed oczyma ogromną kałużę do której z jednej strony napływa woda z jeziora Moelar, z drugiej z Baltyku; flota wojenna w bojowym szyku mogłaby tu przedefilować przed oknami króla szwedzkiego. Z drugiej strony leży wyspa Ridarsholm, na której wznosi się pałac królewski; jest to wielki gmach granitowy pomalowany na żółto, jak gdyby chciano ukryć kamień nadaniem mu pozoru drzewa. Włoskie tarasy zdobią pałac, a stojące na nim w greckim stroju posągi, muszą przez ośm miesięcy drżeć od zimna pod niebem Północy. Obok pałacu, nieco w tyle, wznosi się stara katedra sztokholmska. Na prawo i na lewo wzrok spotyka wilgotne zbiorowisko, na których wiele rzek zdaje się wyznaczyły sobie schadzkę, aby następnie rozbiedz się w różnych kierunkach, zagarniając w swe zagięcia wyspy pokryte zielenią i pomieszkaniami. Na każdej z takich wysp domy porozkładały się w malownicze grupy; z pomiędzy budynków skały wyłaniają swe szczyty, a na wierzchołku sterczy kościół, rysujący gotyckie swe kształty na bladym lazurze nieba. Tłum przechodni uwija się po wybrzeżu; żaden powóz mu nie zawadza. Wybrzeża te są chodniki, a środek ulicy, to jezioro, po którem przesuwają się jedynie istniejące w Sztokholmie, *powozy*, to jest lekkie sztemery, prawdziwe łodzie parowe, opatrzone mikroskopijnemi maszynami. Na takim statku mieści się dwanaście do piętnastu osób; namiot rozpięty na pokładzie chroni je od słońca. Z okien widzimy jak roje tych statków przesuwa się i mija po wodzie, na chwilę zbliża do lądu i znów ucieka i płynie, zakreślając fantastyczne koła około niektórych wielkich okrętów drzemiących na kotwicach.

Nareszcie jeden sztemer zatrzymał się pod naszemi oknami i dźwiękiem dzwonka zaprasza podróżnych lub pragnących się przejechać po błyszczących falach. Obowiązki kapitana, maszynisty i palacza, spełnia młoda, najwięcej dwudziesto-letnia Delekarlianka; ona to pobiera od pasażerów małą opłatę,

daje znak odpłynięcia lub przyspieszenia biegu. Z pod krótkiej spódniczki w zielone i brunatne prążki, wyglądają czerwone pończochy i wycięte trzewiczki; obcisły szkarłatny gorsecik otacza kibić; cienka batystowa chusteczka osłania piersi, na niej błyszczą klejnoty z oksydowanego metalu; na głowie ma wysoki krochmalony czepiec, od którego spadają z tyłu dwa długie końce, jakby skrzydła poruszane powiewem wiatru.

Płyniemy, szrubowiec nasz przerzyna piękne fale Bałtyku, których białość przypomina odbłys perłowej konchy; widoki przesuwają się i zmieniają co chwila. Już to widzimy pałac, już park rozległy; tam miejsce obmurowane w porcie dla budowy i naprawy okrętów, w którem też stoją ich całe szeregi: tu znowu przesuwamy się między dwoma jakby wysokiemi tarasami, po nad któremi domy arystokratycznej powierzchowności rysują swe zimno poprawne linije. Lecz jakkolwiek w trzech różnorodnych obrazach, na pierwszym planie stoi miasto ze swemi wielkiemi pałacami, kościołami, granitowemi mostami zarzuconemi nad morskiemi odnogami, na drugim zawsze ukazuje się przyroda. Za każdym zwrotem statku, nowa postać jeziora przedstawia się oczom, lub wyłania się niespodzianie jakiś zakątek zatoki oprawnej w ramy wspaniałej roślinności. Przyroda przedstawia się tu wszędzie, nawet wśród miasta któremu nadaje dziwny urok i poważną piękność. Słusznie też Sztokholm pogardził upiększeniami za jakiemi ubiegają się inne miasta europejskie, i które też stanowią jedyny powab metropoli nowego świata. Sztokholm od lat trzydziestu nic się nie odmienił; pyszny tą niewzruszoną pięknością jaką go przy powstaniu obdarzyła przyroda, i której nic i nikt wydrzeć mu nie zdoła, odtrąca sztuczny przepych dorobkiewiczów. To też mało jest miast tak odrębną mających cechę, tak całkiem różne od innych budzących wrażenie.

Chcąc odrazu objąć okiem całą wspaniałą panoramę miasta, trzeba wejść na taras Mosebackke, wzniesiony na stromej wysokości wprost wyspy Riddarsholm, tego środka i kolebki Sztokholmu. Wchodząc na pochyłość prowadzącą do tego przyrodzonego Belwederu, przechodzi się przez najludniejsze dzielnice miasta, i co krok napotykamy ogorzałe twarze, co jest cechą rasy skandynawskiej. Szwedzi są dobrze zbudowani, silni, wysocy, blondyni jak większość Germanów, ale w szlachetnej ich twarzy nie ma obłudnej słodyczy ani udanej prostoty; gdy mówią błękitne ich oczy płoną ogniem, wysławiają się żywo, prędko, często obrazowo. Charakter Szwedów odpowiada wyrazowi ich twarzy, jest szlachetny i namiętny. Jeszcze przed pół wiekiem pewien podróżny powiedział: „Mało jest krajów w których możnaby tak zaufać poczciwości niższych klas ludności, jak w Szwecyi.“ I dziś z zupełną prawdą powtórzyć to można. Obok tego, do tej wrodzonej i dziedzicznej poczciwości, Szwedzi łączą poczucie własnej godności, takim urokiem otaczające prawość. Jakaż to rażąca sprzeczność z tem co podróżnik napotykał w Niemczech, tej klasycznej ziemi *trinkgeldu*. W liczbie pięćkroć sto tysięcy zbrojnych, Niemiec rabuje, jednostki żebrzą. W Niemczech każdy prawie wyciąga rękę, począwszy od kaleki z profesyi, czatującego na podróżnych wszędzie gdzie tylko jest coś ciekawego do widzenia, aż do płatnych i dekorowanych urzędników rządowych, telegraficznych, kolejnych, pocztowych i innych.

Niegdyś, w Kolonji, żebracy składali korporacyę potężną i poważaną; było ich dwanaście tysięcy i służył im przywilej przekazywania dzieciom swoim miejsc w których wyzyskiwali litość przechodniów. Rząd pobierał pewną część ich zysków, dzielili się więc z panującym monarchą; następnie gdy Niemcy ogłosiły wolność przemysłu, całe państwo objęło w spadku patentowanych kolońskich żebraków.

Gdyśmy stanęli na tarasie Mosebacke, zachwycający widok roztoczył się przed nami. U stóp naszych Moelar i Bałtyk łączą się, jednoczą, a wody ich tworzą jakby obsadę miasta o siedmiu wyspach; w samym środku, niby królowa otoczona dworem, wznosi się Riddarsholm, wyspa pałaców i kościołów, ze swemi nadbrzeżnemi ulicami, opasującemi ją jak wstęga granitowa, ze swemi wysokiemi cisnącemi się do siebie domami po nad któremi sterczy dwadzieścia dzwonnic, kończatych jak ostrze sztyletu.

Tu powstał Sztokholm; lecz wkrótce za ciasno mu było w swej kolebce, zerwał więc krępujące go powijaki, zagarnął sąsiednie wyspy, wybrzeża i półwyspy, opuszczając się aż na spadziste pochyłości; lecz nie niszczył otaczającej go roślinności, nie odpychał przyrody, prosił tylko aby go przyjęła na swoje łono i upiększyła. To też lasy otaczające Sztokholm nie kończą się u bram jego, ale wnikają do miasta, przerzynają go tu i owdzie, tworząc piękne parki i wiekowe aleje. Z wyżyn Mosebacke widzimy tę świetną zieloność otaczającą budowle, ocieniającą pałace, wciskającą się we wszystkie zakątki miasta, jak bluszcz w załomy marmuru.

Szwedzi nazywają się Francuzami Północy i żywe współczucie żywią dla Francyi; nazwę tę przyznała im Europa, lecz w takim razie Sztokholmianie winni być uważani za Paryżan Szwecyi. Sztokholm jest głównym punktem zabaw i przyjemności lecz zarazem i głównem ogniskiem życia umysłowego. W początku tego wieku stolica Szwecyi była widownią wielkiej zmiany zaszłej w piśmiennictwie, podobnej nieco do ruchu jaki objawił się we Francyi w 1830 r. Do owego czasu, poeci i prozaicy jedynie w starożytnościach greckich i łacińskich szukali natchnienia; krępowali myśl swoją poprawnemi ale konwencyonalnemi i zużytemi formami literatury francuzkiej z XVII i z XVIII wieku. Nareszcie kilku śmielszych autorów przypomniało sobie, że Północ ma swoją mitologiję, swoje legendy, bohaterskie wieki i swoje Illijady; i zapuszczając się odważnie w swe lasy i puszcze, odszukali w nich Odina zapomnianego od wieków; Thora, bożka siły; Balder'a, Apollina, i zmiarkowali że Frydda, bogini piękności, zdobna dziewiczym wdziękim, błękitnemi oczami i popielatawo - blond włosami, nie ustępuje rudej bogini popisującej się ze swemi podstarzałemi wdziękami na ostrych ścieżkach Cytery. Tagner przełożył sagi; Geier, w uczonem dziele, będącem wzorem erudycyi, dał poznać Szwedom początki ich ojczyzny. Dwa dzienniki humorystyczne, *Iduna* i *Phosphorus* broniły żarliwie sprawy piśmiennictwa skandynawskiego. Popęd ten raz zbudzony, znajduje ciągłych przedstawicieli tak w sztuce jak w piśmiennictwie, jeden tylko teatr nie idzie ich śladem i żywi się dotąd francuzkiemi przekładami.

Gustaw III probował podnieść scenę szwedzką do rzędu pierwszorzędnych europejskich. Przed nim tylko dla swawoli chodzono do teatru; i tak w najpierwszym teatrze sztokholmskim, publiczność kazała nieraz zaczynać przedstawienie od ostatniego aktu a kończyć na pierwszym. Wieczorem udaliśmy się do najpierwszego teatru; dawano jakąś operetkę i co prawda pod względem intrygi i dramatyczności nie wieleby straciła choćby koniec przełożyć na początek: tak cała treść mało przedstawiała zajęcia.

Sala w połowie ledwo była zapełniona, gdyż podczas pięknych dni lata Szwedzi przekładają nad wszystko zielone gaje i cieniste lasy, i biegną oddychać ich wonią. Jeśli podróżnik przybywający do ich stolicy, zapyta kogoś gdzie ma spędzić pierwszy wieczór, otrzyma odpowiedź: „Idź pan do Diurgarden; a jutro? także do Diurgarden. Jest to ogromny park w którym ręka ludzka nic nie odjęła, poprawiając wdzięk przyrody, las kilko - wieczny po którym rozrzucone są mchem okryte skały, najeżone urwistemi pochyłościami, stanowiącemi wybrzeża Bałtyku.

Co wieczór mnóstwo łodzi przewożących mieszkańców ze wszystkich części miasta, sunie ku Diurgarden; około nich snują się stada czarnych i białych łabędzi. U stóp lasu, nad samem wybrzeżem, wznosi się miasto drewniane, żyjące zazwyczaj tylko przez sześć miesięcy, gdyż powstaje z wiosną a niknie gdy liście jesienne opadną. Wygląda ono jak rozległe jarmarczne targowisko; tu wznoszą się baraki, szopy, namioty i teatrzyki pod gołem niebem, w których hecarze i skoczki różne pokazują sztuki. Nieco opodal, nad tarasami wyniesionemi po nad zatoką, stoją pawilony zbudowane w stylu włoskim, tureckim i maurytańskim; lekkie te budynki obejmują restauracye i te jedynie trwają przez całą zimę. Gdy już gruba skorupa lodu pokryje jezioro i Bałtyk, i śnieg zalegnie granitowe drogi a Sztokholm ukazuje się z dala jakby białem otulony futrem, wtedy sanki jedne za drugiemi suną się do Diurgarden; i wszyscy zasiadają pod szronem pokrytemi drzewami, które zima w cudowne przystroiła kryształy.

(*d. c. n.*)

KORESPONDENCYA Z BERLINA.

Stan przemysłu w Niemczech. — Czy Niemcy mają przyjąć udział w Wystawie paryzkiej. — Praca kobiet i dzieci w fabrykach. — Uroczystość 4 Września. — Sławny amerykański doktór Evans w Koblencyi. — Wystawa Sztuk Pięknych i Przemysłu w Monachium. — Ludzie. — Psy. — Ludność Prus i nieustanny jej przyrost. — Wyrabianie prowiantu dla wojska, w Moguncyi. — Installacya Akademji wojennej w Berlinie. — „Lato w Wiedniu,“ Juljusza Rodenberg. — „Prądy opinji,“ K. M. Richtera. — „Raj,“ Pawła Heyze. — „Benvenuto,“ Fanny Levald.

Mniej tu może zajmuje umysły straszny dramat wojenny jakiego wkrótce może stać się widownią Turcya europejska, niż rozwiązanie pytania, czy Niemcy mają wysłać wyroby swoje na Wystawę Paryzką, zapowiedzianą na rok 1877. Wielu przemysłowców nie mających z czem wystąpić, pragnie wmówić w innych że Wystawa nie przyjdzie do skutku; inni rozumniejsi i nie zaślepieni pychą narodową, widzą dokładnie, że pod względem przemysłowym, Niemcy zajmują dziś daleko podrzędniejsze stanowisko, niż przed wojną francuzko-niemiecką. Już sama Wystawa filadelfijska dostatecznym tego dowodem, a przecież Niemcom bardzo chodziło o to, aby się dobrze przedstawić Ameryce, w której tak już wielka znajduje się liczba niemieckich wychodźców. Wystawa wiedeńska nie wypadła chlubnie dla niemieckiego przemysłu, na Wystawie zaś otwartej tego lata w Monachium tylko wyroby złotnicze Humberta i Heyland'a zwróciły na siebie uwagę. Co prawda, Wystawy powszechne urządzane są może za często, przez co przemysłowcy za mało mają czasu aby się należycie przygotować. Ale trudność ta jednakową jest dla wszystkich narodów, istnieją więc inne jeszcze powody niepowodzenia Niemców na Wystawach międzynarodowych. Pierwszym takim powodem jest ekonomiczne położenie Niemiec, drugim najgorsza zasada przemysłowców niemieckich, iż zamiast starać się o trwałość i dobry gust wyrobów,

starają się tylko o to, aby je można sprzedawać po nizkich cenach. Niemcy czują że pod względem gustu nigdy nie dorównają Francuzom, lecz dla czegóż nie probują dorównać im przynajmniej pod względem dobroci wyrobów?

Czy Niemcy mają przyjąć udział w Wystawie Paryzkiej, sami przemysłowcy nie zgadzają się pod tym względem. A zresztą współuczestnictwa nie dopuści może samo już przesilenie przemysłowe, które z gwałtownego przejdzie w stan chroniczny. W Saksonji wiele pierwszorzędnych fabryk ograniczyły liczbę robotników do tego stopnia, iż zatrzymały tylko liczbę niezbędną aby fabryka nie stanęła. Wielka fabryka machin Hartmann'a zatrzymała zaledwie połowę robotników; z wielu innych pooddalano od razu po kilkudziesięciu. Toż samo ma miejsce w przędzalniach, w warsztatach bawełnianych, w fabrykach perkalików, pończoch, i t. p. Powiększenie cen żywności zwiększa jeszcze nędzę pracowników, do której przyczyniają się wylewy rzek. Wody pleśniejące na gruncie spowodowały skutkiem długiego parowania ciężkie i niebezpieczne gorączki, dziesiątkujące rodziny pozbawionych możności pracy robotników. Ta stagnacya w przemyśle najwięcej stosunkowo dała się uczuć dzieciom i kobietom pracującym w rękodzielniach.

Według ostatnich wykazów statystycznych zamieszczonych w specyalnych dziennikach, znajduje się w cesarstwie niemieckiem 226,000 robotnic mających więcej jak po szesnaście lat i pracujących w fabrykach; z pomiędzy nich 24 na 100 mają mężów. W Prusach, ogólna ludność kobiet wynosi 12,500,000; obliczono że jedna na sto zajmuje się pracą fabryczną. W Würtembergu zachodzi prawie takiż sam stosunek, w Bawaryi nieco mniejszy, ale znowu w Saksonji przechodzi liczbę 3 na 100.

Najwięcej kobiet pracuje w wyrobach tkackich; z tych więcej jak połowa, t. j. 63 na 100 pochodzi z Prus, 12,000 przypada na Bawaryę, przeszło 30,000 na Saksoniją, około 8,000 na Würtemberg; prawie tyle na księztwo Badeńskie, 700 na wielkoksiążęcą Hessyę; 4,500 na małe państwa środkowe, co daje ogólną liczbę 128,500 kobiet, pracujących w samych warsztatach tkackich.

Fabryki cygar zatrudniają w ogóle 34,000 robotnic; 16,000 w Prusach, 1,700 w Bawaryi, 4,000 w Saksonji, 900 w Würtembergu, około 9,000 w małych państewkach.

W powyżej wymienionych fabrykach, pracuje w Prusach trzy i pół raza tylu mężczyzn co kobiet; w Bawaryi prawie jednakowa liczba; w Saksonji o połowę więcej mężczyzn; w Hessyi wypada na sto 75 mężczyzn a 25 kobiet, kiedy przeciwnie w księztwie Badeńskiem liczba pracownic jest 10 procent większa niż pracowników. Co do liczby godzin pracy, w większej części fabryk trwa ona od 6 lub 7 rano, do 6 lub 7 wieczór; w tym przeciągu czasu półtory do dwóch godzin przeznaczone są na wypoczynek, zatem robotnik pracuje dziennie 10 do 11 godzin, a nawet w fabrykach tkackich, dzień pracy zajmuje często aż 13 godzin.

Kobiety pracujące w fabrykach zarabiają przeciętciowo do 2 rs. 50 kop. tygodniowo; często jednak zarobne ich nie przechodzi 60 kop. na tydzień. Zdarza się jednak niekiedy że zarabiają po 4 rs. tygodniowo, w miarę niezwykłej nagłości roboty lub wyjątkowego uzdolnienia.

W Niemczech połączonych pracuje w fabrykach 88,000 dzieci obojga płci od lat 12 do 16, stanowią one zatem dziesiątą część robotników. Prawo zabrania pracować w fabrykach dzieciom nie mającym lat dwunastu. W tej liczbie 88,000 robotników i robotnic od lat 12 do 16, przypada na sto, 60 chłopców a 40 dziewcząt. W Prusach pracuje ich 47,500, w Saksonji 17,000, w Bawaryi 5,600, w królestwie Würtembergskiem 3,000, etc. Tak więc odnośnie do ludności, największy stosunek przypada na Saksonię, gdyż na sto dzieci od lat 16 do 12, sześcioro zmuszone są pracować w fabrykach. Płaca ich tygodniowa wynosi od 33 kop. do rs. 1 80 lub 90 kop. Dzieci od lat 14 do 16 pobierają zazwyczaj takie zarobne jak kobiety pracujące w fabrykach to jest przeciętnie 1 rs. 60 kop. tygodniowo.

Tak smutne stanowisko przyczynia się niesłychanie do rozwoju socyalizmu. Nie dawno temu na jednym z ostatnich kongresów socyalistów, jeden z głównych ich przywódców, poseł Liebknecht, w imieniu swego stronnictwa dowodził: iż należy przedsiewziąć wszelkie starania i środki, przy wyborach aby jak największa liczba socyalistów zasiadła w Reichsrath'cie.

Wszystko to razem dało powód że obecnie na zgromadzeniach politycznych, zajmują się bardzo w Prusach pracą kobiet i dzieci. Badanie różnych Izb handlowych, wykazuje iż powszechnie domagają się aby nie mającym lat ośmnastu, zabronić wszelkiej pracy fabrycznej mogącej źle oddziaływać na zdrowie i obwarować postanowieniami pracę na jaką skazane są dzieci od lat 10 do 12. Według uznania znacznej większości trzebaby nawet wzbronić przyjmować ich do fabryk, jeźli nie będą dane dostateczne rękojmie, że nigdy nie będą używane do pracy za ciężkiej dla nich, i że nie zagraża im żadne niebezpieczeństwo tak pod względem zdrowia jak moralności. Wiele osób domaga się aby przedewszystkiem dzieci zmuszone były uczęszczać do szkoły, a nie mające lat 12 nie pracowały więcej nad cztery godzin dziennie, i to nie więcej jak po dwie godzin jednym ciągiem. Kobiety mające zostać matkami, nie powinny być dopuszczane do pracy w fabrykach, sześć miesięcy przed i sześć miesięcy po przyjściu na świat dziecięcia. Tak wyraziła się większość Izb handlowych.

We wrześniu odbył się tu także kongres dziennikarzy, powodem którego były procesa prasowe ponawiające się tu nieustannie. Nie ma dziennika, któregoby redaktor albo wydawca długich miesięcy nie odsiadywał w kozie; wielu utraciło przez te ponawiane rekolekcye zdrowie i całe mienie swoje; inni nie będąc w stanie opłacić nałożonych kar zmuszeni byli uciekać z kraju aby uniknąć więzienia, w którem traktowani są na równi z prostymi zbrodniarzami i skazywani na przymusową pracę... Radzili, obradowali, rozprawiali, przedstawiali różne środki, postanowili nie zalecać niczyjej kandydatury, jeśli nie zobowiąże się bronić w sejmie prasy i dziennikarzy — szkoda czasu, wszystko to jak mówią „groch na ścianę."

(d. c. n.)

RAGUZA, CATTARO I CZARNOGÓRZE.

Wycieczka do obozu powstańców hercegowińskich.

(Wrażenia pewnej damy angielskiej z podróży po słowiańskich krainach pod jarzmem tureckiem).

Ustęp z „The Cornhill Magazine."

(Dokończenie).

III.

OBÓZ POWSTAŃCÓW.

Castel-Nuovo leży przy wejściu do ujść Cattaro, na granicach Austryi; nominalnie należy do Turcyi, obecnie jednak było zajęte przez powstańców. Podczas naszego pobytu, znajdowała się tu główna kwatera komitetu słowiańskiego, skutkiem czego niezwyczajny zgiełk i ruch panował w mieście. Na placu targowym pełno było wojaków przychodzących kupować żywność dla obozów Peka i Sosicy. Pierwszy znajdował się o dwie, drugi o cztery mile od miasta. Oznajmiliśmy naszemu przewodnikowi iż bardzo pragnęliśmy zwiedzić obóz powstańców; odpowiedziano, że nic łatwiejszego jak urzeczywistnić to życzenie, gdyż droga na górę Lutice gdzie obóz się znajduje, jest wprawdzie trochę nużąca ale nie odległą.

Tak więc nareszcie miało spełnić się gorące nasze pragnienie poznania naczelników powstania i wojowników Hercogowińskich! Jakiś biedak którego poznaliśmy w szpitalu raguzańskim, ofiarował się służyć nam za przewodnika i pożyczyć mi swego konia, brakło więc już tylko siodła damskiego, ale o tem nikt tu nawet nie słyszał. Jednak w końcu, przeszkodę usunięto z pomocą właściciela konia, na którem w ostatnim razie trzeba było poprzestać. Przypadek zrządził że naczelnik komitetu słowiańskiego, mając tego dnia właśnie udać się do obozu powstańców, zezwolił abyśmy się przyłączyli do jego orszaku i nawet w razie potrzeby obiecał służyć nam za tłomacza.

Droga zaczyna się w dolinie otoczonej podwójnym rzędem wysokich gór; ich stroma pochyłość i przepaściste skały tworzyły ponurą sprzeczność z rozkosznemi równinami które przebywaliśmy, oraz z pięknemi łanami zarosłemi winnicami i drzewami oliwnemi, które użyźniał strumyk szemrzący cicho w swem kamienistem łożysku, tak mile i spokojnie, jakby równiny te nigdy krwią nie były zbroczone. A jednak ileż jej tu popłynęło podczas powstania w roku 1862!...

Minęliśmy właśnie port Sutorina, gdy nagle zastąpiła nam drogę prosto sterczaca góra; powiedziano nam że na niej właśnie znajduje się obóz. Odtąd zaczynała się bardzo męcząca droga, gdyż szła przez górę prawie prostopadle. Co prawda nie było tu właściwie drogi tylko łożysko wyschłego strumienia, a kamienie obsuwające się ciągle pod stopami naszych koni, bardzo utrudniały pochód. Ale biedne zwierzęta nawykłe widać do podobnych przechadzek, a prócz tego podniecane głosem i szpicrutą, nie szczędziły sił swoich i po upływie dwudziestu minut dostaliśmy się na malownicze wyżyny Luticy, gdzie powstańcy rozłożyli obóz.

Wszelkie zwierzęta domowe, zazwyczaj podzielające grunt z mieszkańcami wioski, przepędzone były na drugą stronę góry; sam przywódzca powstańców, Sosica, stał kwaterą w mieszkaniu miejscowego księdza. Powitano nas wystrzałami z ręcznej broni i głośnemi okrzykami; gdy strzały te nie ustawały, po przywitaniu, wiedząc że nie mieli do zbytku amunicyi, zwróciliśmy uwagę Sosicy, czy nie szkoda jej tak marnować.

— Bah! odrzekł, moi wojownicy już od kilku dni nie strzelali, cieszą się więc bardzo z tej sposobności.

Z jakąż to ciekawością przypatrywaliśmy się tym dzikim wojakom, zgromadzonym w około swego wodza! Możnaby myśleć że czarnoksięzką siłą zostaliśmy przeniesieni do jakiegoś średniowiecznego przybytku rozbójników. A cóż to za różnorodne ubiory! Jedni przywdziali szerokie niebieskie pantaliony zdobyte na Turkach na polu bitwy i ładownice ozdobione pół-księżycem, inni narodowe kaftany z białej flaneli, ale wszyscy mieli dzielne miny i zdawali się jak najzdrowsi, chociaż, jak nas zapewnia towarzysz nasz naczelnik komitetu słowiańskiego, od tygodnia nie jedli mięsa.

— Garibaldi, rzekł, ofiarował nam legion ochotników, ale nie na wieleby nam się zdali. Wymagali

aby przynajmniej co drugi dzień dostawali mięso, kiedy przeciwnie nasi wojacy poszliby aż do Belgradu poprzestając na samym chlebie.

Ta wstrzemięźliwość i obywanie się byle czem jest właśnie główną siłą powstania. Kiedy żołnierze tureccy padają z wysilenia na wszystkie strony, zdziesiątkowani niewygodami jakie znosić muszą, Hercogowińcy i Czarnogórcy odbywali po kilkanaście mil o szklance wody i kawałku suchego chleba: tak więc nawet przygniatające ich biedy na korzyść swoją wyzyskać umieją.

Monarcha podejmujący swoich gości, nie mógłby mieć więcej pańskiej miny jak ten wódz powstańców. Sosica wyszedł na nasze spotkanie, powitał uprzejmie i przedstawił swoim przyjaciołom i towarzyszom broni, poczem zaprosił do swego mieszkania. Pokój do którego nas wprowadził, służył widocznie za sypialnię dla dwunastu oficerów jego głównego sztabu i za jadalnię dla wszystkich. Na stole leżały artykuły żywności na jakie zdobyć się mógł zbytek krajowy, chleb czarny, baranina świeża lub wędzona, ser kozi i t. p. przysmaki. Powietrze było tak zaduszające iż prosiliśmy aby otworzono okno. Usiadłszy przy niem wpatrywaliśmy się w prześliczną perspektywę roztaczającą się aż do ujść Cattaro, a jednocześnie dzicy górale wypowiadali swoje skargi, opisywali stoczone bitwy i szydzili głośno z bezowocnych pokuszeń austryackiego ministra hrabiego Andrassy i wszystkich razem dyplomatów, pragnących bezowocnemi usiłowaniami zażegnać zaciętą nienawiść i walkę jaką wiodą ze swymi ciemięzcami.

Sosica jest daleko lepiej wychowany i ukształcony niż jego towarzysze; zajmował on znaczne i bardzo wpływowe stanowisko w Piwie, gdzie zrobił wielki majątek, a nareszcie musiał uciekać aby i siebie i swoich uchronić od łupiestwa Turków. Jak tylko wybuchło powstanie, życie i majątek poświęcił sprawie narodowej. Żona jego i dzieci znajdowały się obecnie w Czarnogórzu, którego nie mogą opuścić dopokąd Moslem zajęty będzie przez wrogów. Przedstawił nam jednego ze swoich oficerów, kapłana Malentia, który równie jak wielu miejscowych duchownych, skorszy był może do wojaczki niźli do kazań. W całym obozie mówiono tylko o blizkiej wielkiej wojnie. Uderzyła nas szczególniej dziwna sprzeczność zbyt słabych środków na jakich opierało się powstanie, obok niezłomnego męztwa i energji wodzów, nie wahających się stawiać czoło potędze ottomańskiej, z garstką wojowników, prawie bez broni i amunicyi.

Po skromnym posiłku opuściliśmy kwaterę gościnnego wodza powstańców, na dworze niebawem przyłączyli się do nas Peko, Filipowicz, Wukałowicz i kilku innych dowódzców. Wszyscy oni byli odważni i dzielni wojownicy, ale uważaliśmy że Peko przewyższał wszystkich wyższością umysłu. Tak dumnie wzniesiona głowa jak i spojrzenie jego zdawały się stworzone do rozkazywania, i zdaje się iż i współtowarzysze broni musieli mieć podobne o nim mniemanie, gdyż z nadzwyczajną uwagą przysłuchiwali się wszystkiemu co mówił. Wojenna jego sława zjednała mu ogólny szacunek; liczył lat sześćdziesiąt a brał już udział w sześćdziesięciu sześciu bitwach; byłoby to dość i na wiek najpóźniejszy.

Powstańcy nie mogli darować hrabiemu Andrassy znanej jego noty, na samo jej wspomnienie unosili się niepohamowanym gniewem.

— Jak gdyby to było możliwem, wołali, aby Turcy rzeczywiście wprowadzili i wykonywali obiecywane reformy; wyjdzie to na jedno co żądać od uschłego drzewa aby wydawało owoce!...

O ile się zdaje powstańcy hercogowińscy nie rzucą broni dopokąd Turcya nie da im daleko pewniejszych niżby pragnęła rękojmi; marzeniem ich jest stać się oddzielnem księztwem i mieć panującego księcia swego wyboru, i co najwięcej tylko jak Serbija opłacać Turcyi pewną daninę — może mogliby je urzeczywistnić gdyby inne mocarstwa działały zgodnie, bez żadnych innych widoków prócz dobra powstańców.

Zmrok zapadał, noc się zbliżała. Peko i Sosica oznajmili że odprowadzą nas aż do granicy austryjackiej. Jechali więc na czele małego oddziału, a konie jeźdźców tak się rwały i wspinały, iż ze względu na niepewne moje *siodło*, strach mię brał trochę.

Nareszcie dojechaliśmy do miejsca w którem trzeba było się rozłączyć z naszymi dzielnymi towarzyszami; podaliśmy sobie dłonie; oni życzyli nam szczęśliwej podróży, my jak najlepszego powodzenia świętej ich sprawie.

„Powiedz pani swoim współziomkom, rzekł na odjezdnem Peko, że walczymy za naszą wiarę i za nasze ogniska, i proś aby nie dopomogli naszym wrogom."

J. B.

Przegląd literacki.

Kobieta, jej udział w rzeczach miłosierdzia, lecznictwa i niezależnej pracy. Odczyt przez Doktora Tymoteusza Stępniewskiego.

Jest istota stara jak świat a zarazem młoda jako tchnienie ożywczej wiosny, słaba i potężna, drobiazgowa i wszechstronna, której zakres działań w rodzinnem ścieśniony kółku, postanowili szermierze idei postępowej w imieniu świętych praw sprawiedliwości rozszerzyć. Walczący o prawa kobiety bojownicy wzięli się w ostatnich czasach z młodzieńczym zapałem do skruszenia wiekowych więzów rutyny, jakie piękniejszą połowę rodzaju ludzkiego dotąd krępowały. Prąd wyswobodzenia słabych z przemocy silniejszych zawiawszy od zachodu, dał popęd do rozwinięcia tej palącej kwestyi społecznej w całej swej teoretycznej doniosłości, lecz jak się to zwykle dzieje wtedy gdy zapał walczy o pierwszeństwo z rozumem, wielu z obrońców ufni w szlachetność wytkniętego celu, chwycili się ostateczności, a tym sposobem miasto posunąć ideę równouprawienia dwóch płci krokiem naprzód, sprawili krańcowością swych zachceń, iż ona jakkolwiek odpowiednio rozwinięta, w teoryi, niezaklimatyzowała się u nas przynajmniej, dostatecznie w praktyce. Nie mówię bynajmniej o bezwarunkowej zamianie słowa w czyn, gdyż podobny rezultat stopniowo tylko i powoli przyjść może, twierdzę jednak że zasada rozumnego, opartego na poczuciu słuszności równouprawienia, grzmiąc tytanicznie na katedrach prelegentów, zajmując wybitną rubrykę w książkach i pismach peryodycznych, pozostała w życiowem zastosowaniu dziś tem czem była jeszcze przed laty. A któż temu winien, pytam? Czy opieszałość narodów, czy brak zachęty. Czyli też krańcowość poglądów niektórych obrońców? Ja sądzę że ten ostatni powód jest główną bodaj czy nie jedyną przyczyną stagnacyi. W charakterze naszym leży że gdy pragniemy wprowadzić jakąkolwiekbądź zasadę w czyn, czepiamy się zawsze ostatecznych jej wyników. Z dyskredytowaliśmy rozumny pozytywizm łącząc go z niewiarą i ateizmem, nie umieliśmy wyciągnąć odpowiedniego pożytku w zastosowaniu walki o byt odasabniając też walkę od duchownych czynników natury ludzkiej, zatamowaliśmy praktyczny postęp równouprawnienia kobiet przez chęć starcia z niewiasty najczystszych, najsubtelniejszych cech jej charakteru, cech jakie właśnie stanowią dodatnią stronę płci słabej.

Zadaniem wstępującego na katedrę p. Stępniewskiego było dowieść że połowa rodzaju ludzkiego t. j. kobiety, w skutku ścieśnienia szranek nadanej im działalności pozostają dotąd nieprodukcyjnemi członkami społeczeństwa, gdy tymczasem przez rozszerzenie zakresu ich pracy, nie tylko wywalczyć by mogły własną przyszłość i odpowiednią niezależność, ale nawet stać się czynnikiem do utrwalenia dobrobytu ogółu służącym. Szanowny Prelegent rozwijając ten nieulegający żadnemu zaprzeczeniu pewnik, sięga w odległe czasy, i wykazuje bezpośrednią choć częstokroć wiązaną nieprzyjaznemi okolicznościami, działalność rzymianek i greczynek, ich wpływ na życie narodów, na rozwój oświaty, na postęp wyobrażeń. Idealizując starożytne niewiasty, nie waha się nawet tłomaczyć *obszerność serc* (sic) Aspazyi, Obydwóch Lais, Myrryny, Tais Lamii, Targelji, a we wzmiance o starszej Lais dopuszcza się sofizmatu, uniewinniając niejako złe i niemoralne prowadzenie się wszetecznicy służącej za wzór Apellesowi. Jakkolwiek nie sądzimy ażeby każdy środek dla dopięcia szlachetnego celu był godnym uznania, przebaczylibyśmy chętnie powyższą abstrakcyę szanownemu Prelegentowi, gdyby następujący zaraz po niej zwrot nie potępiał w imię produkcyi pracy kierunku, jaki niektórzy ludzie czysto religijną dążnością przejęci, do nauki Zbawiciela zastosowali. Nie jestem bynajmniej zwolennikiem unieruchomienia, ascetyzmu, i kontemplacyjnego żywota, ale ktokolwiek bezstronnem okiem sięgnie w przeszłość, zaprzeczyć nie może iż kongregacye duchowne przyniosły znaczny przyczynek do rozwoju nauk oświaty i miłosierdzia. Zkąd wychodziły przed wynalazkiem Guttenberga księgi szerzące światło jeżeli nie z rąk pracowitych zakonników? Gdzież w oczach słabej jeszcze wtedy organizacyi wychowania publicznego, kształciła się młodzież jeżeli nie w klasztorach? Pijarzy, Dominikanie a nawet tyle oszydzeni Jezuici byli przez długie lata jedynymi pionierami cywilizacyi narodów. Miłosierdzie znowu w formie przytułku i wsparcia dawanego pielgrzymom i ubogim, wśród tych świętych jedynie niemal zakwitło ustroni. Dziś nawet Bonifratrzy i zakonnicy z góry Św. Bernarda niezaprzeczone pod tym względem usługi cierpiącej ludzkości oddają. Nader słabem upozorowaniem wycieczek przeciw nieprodukcyjnym klasztorom, jest następujące potem motywowanie upadku miłości bliźniego na drodze czynów osobistych i przeważnej roli, jaką kobieta w tym objawie litości nad niedolą nieszczęśliwych odgrywała; czyny bowiem osobiste uważać można za atomy w porównaniu doniosłości czynów zbiorowych, jakie np. były zawsze udziałem kongregacyi siostr miłosierdzia. Nierównie słabszemi jeszcze są wywody upadku lecznic z powodu rozwoju zakonnego życia. Systematyczny ten szereg wniosków, wśród których stanowisko kobiety pomimo silnej woli szanownego prelegenta nader nie wyraźnemi rysami się uwydatnia, prowadzi nakoniec do określenia założonego w odczycie celu t. j. udziału jaki niewiasta w rzeczach miłosierdzia, lecznictwa i niezależnej pracy mieć może. Tu już szanowny prelegent ustrania się, a wstępując na drogę jaką Ernest Legouvé a za niem Edward Prądzyński utorowali, powtarza ich myśli, zdania, wywody, i wypisuje, objąwszy cudzysłowem, całe okresy z dzieł wspomnionych autorów.

(d.n.)

Odpowiedzi od Redakcyi.

Panu M. w Kobylinie. Pan M. prenumerował *Przyjaciela Dzieci* tylko przez 1-y kwartał — to jest od 1-go Stycznia do 1-go Kwietnia. Pismo to wysyłane było przez stacyę Rogów.

Pani Józefinie A. w Iwaszkowcach. Rs. 2 odebraliśmy po strąceniu naddatku, za resztę wysłaliśmy żądane knoty wkopercie pod opaską.

Pani Tekli S. w Ohryzkowcach. Kapelusz posłany, również igły do maszyny „Saksonija.“ Osobnych cenników bielizny nie było obecnie, wysłaliśmy listowną wiadomość. Pozostało z przysłanych na sprawunki pieniędzy kop. 19 w depozycie redakcyi.

Pani Ludwice M. w Krzemieńcu. Żądane Nra Tygodnika Mód wysłane zostały — dołożone pieniądze do kupna nut odebraliśmy.

Pani Delfinie S. w Świecznej. Następne dwa tomy „Pamiętnika Małgorzatki“ jeszcze nie wyszły. Jak tylko druk opuszczą wysłać ich nieomieszkamy.

Pani Ludwice R. w Jurkowszczyźnie. Za odesłanie naddanych pieniędzy dziękujemy. Niezmiernie radzi jesteśmy iż dogodziliśmy w zrobionych sprawunkach.

Pani Helenie S. w Istalnie. Książki wysłaliśmy w właściwym czasie. Literatura Zdanowicza na pojedyncze tomy się nie sprzedaje. Całe dzieło kosztuje rs. 8. Po załatwieniu sprawunków pozostało w depozycie redakcyi rs. 3 k. 18.

Pani Klotyldzie S. w Nowosiołku. Obszerny list z odpowiedzią na zapytania wysłaliśmy.

Pani Klarze D. w Małej-Meczetnie. Piękna suknia kaszmirowa kosztować może od rs. 40 do 75. Kapotka opisana w liście od rs. 15 do 20. Aksamitny kaftaniczek pokojowy, strojnie ubrany od rs. 40 do 60. Kołnierzyki haftowane od rs. 2 do 7 garnitur.

Pani Aleksandrze K. w Dynaburgu. Mamy wyborne dwa podręczniki nauki kroju. Książkę krawiecką, Galeckiej i Głodzińskiego.

Pani Zofji K. w Nowo-Czerkasku. Nadesłane rs. 5 kop. 57 odebraliśmy, pozostałe kop. 43 złożyliśmy do depozytu redakcyi.

Pani Annie N. w Słucku. Kop. 40 odebraliśmy.

Pani Stefanji R. w Starzycy. Żądane sprawunki załatwiliśmy. W wysłanym liście z rachunkami, pomieściliśmy instrukcyją co do przygotowania puchu erdredowego, zaczem się go jako watę użyje. Pozostałe rs. 3 k. 82 złożone są w depozycie redakcyi do dalszej dyspozycyi.

Pani Maryi S. w Wodopoju. Jedwabna suknia czarna strojniej wygląda i właściwiej, zrobiona z tuniką i stanikiem *cuirosse* niż z vêtement. Do sprawunków dołożyliśmy rubli sr. 1.

Pani Cezarynie Z. w Szenderanach. Garnitur spinek popielatych perłowych wysłany — pozostało w depozycie redakcyi rs. 1 k. 52.

Pani Zofji J. w Podgaju. Próbki obić papierowych, na meble, materyałów na pokrycie futer i suknie, wysłano; również sprawunki, do których dołożyliśmy rs. 2 k. 56.

Pani Maryi P. w Niemirowie. I jedne i drugie sprawunki wysłane oddawna. Kosz do papierów wymagał dużej paczki, co bardzo powiększyło koszt przesyłki.

Pani Zofji B. w Temir-Chau-Szurze. List z rachunkiem wysłaliśmy dwa tygodnie temu.

Pani Aloizie Ch. w Michałkach. Kanwa posłana, po dodaniu depozytowych pieniędzy do przysłanych, dołożyliśmy kop. 29. Adres p. E. H. w redakcyi Tygodnika Mód.

Pani Wiktoryi F. w Elizawetgrodzie. Wszystkie trzy próbki włosów jak jedna. Każda para warkoczy razem związana; należy się nam jeszcze k. 41.

Pani B. F. w Michałowie. Książki wysłane w d. 30 z. m., kosztują włącznie z opakowaniem i przesyłką pocztową rs. 3 k. 53.

Pani Maryi T. w Kerdanach. Historya polska Zdanowicza wyczerpana zupełnie.

Pani K. K. w Zduńskiej-Woli. Tasiemeczki medalijonowe do roboty koronkowej sprzedają się na łokcie od k. 5 do 30 za łokieć.

Pani Helenie J. w Niszowcach. Na list odebrany w m. Czerwcu zaraz odpisaliśmy. Odpowiedź tę powtórzyć musimy na list obecnie otrzymany. Konfitur bez próbki nikt ani kupić ani nawet ocenić nie może. O ile nam się zdaje nieopłaciłoby się w niewielkiej partyi z tak daleka przysyłać, chyba żeby w tym roku umowę na rok następny zrobić, i już ekspedyować na fracht paki z zupełną pewnością zbytu.

Panu Janowi Z. w Gobinie. Loteryjkę i szachy wysłaliśmy, obawiamy się tylko czy dostatecznie opakowane zostały. Brakło do przesyłki k. 26 które dołożyliśmy.

Panu M. w Czarnominie. Żądane pisma zaprenumerowaliśmy i zapewne już są odbierane. „Podróż Tissot'a“ pod opaską posłano; pozostało k. 55.

Pani A. B. w Włocławku. Za wiadomość o pannie W. bardzo dziękujemy. Szewctwo wprawdzie z nauką kwiatów nie bardzo na pozór harmonizuje, ale jeżeli kwiat zdobi, to bucik zgrabny, wygodny i należycie przysposobiony z pewnością większy z siebie przynosi pożytek. Wreszcie im się więcej umie tym lepiej. Panienkę tak chlubnie ocenioną polecamy Pani pamięci.

NOWE WYDAWNICTWA.

Pierwsza książeczka dla wprawy w czytanie zebrał i ułożył Kazimierz Promyk, który już poprzednio wydał, elementarz ścienny, następnie drugi elementarz z ułatwioną nauką czytania, i książeczkę o której podajemy wiadomość. Po niej mają nastąpić inne w podobnym celu przygotowane, a zawsze poczciwej, wesołej i urozmaiconej niezmiernie treści. Cena niezmiernie niska tych wydawnictw, wynosząca za egzemplarz tylko kop. $2\frac{1}{2}$ od której przy braniu 50 egz. Wydawca odstępuje znaczny rabat, powinna zachęcić miłośników dobra publicznego do jak największego korzystania ze szlachetnego poświęcenia szanownego Wydawcy.

Biblijoteki teatralnej nakładem i drukiem Józefa Ungra wyszła komedya oryinalnie napisana przez Sewera p. t. Pojedynek szlachetnych, która na konkursie dramatycznym warszawskim w r. b. była premjowana.

Żydzi, Niemcy i My, przez Jana Jeleńskiego. Jest to broszura poświęcona rozbiorowi kwestyi niezmiernie ważnej bo dotyczącej bytu naszego społecznego. O pracy tej damy wkrótce bliższe sprawozdanie.

Od Redakcyi.

Tygodnik Mód i Powieści jak i Przyjaciel Dzieci, w przyszłym 1877 roku, wychodzić będą pod temi samemi co dotąd warunkami.

Upraszamy o wczesne nadsyłanie należytości prenumeracyjnej *wprost do Redakcyi,* gdyż tylko tym jedynie sposobem dalsze przesyłanie pism bez zwłoki następować może.

Prenumerata wynosi:

NA TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . **rs. 2 kop. 50**
Półrocznie . . . **rs. 5**
Rocznie . . . . **rs. 10**

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **Kwartalnie — k. 75.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . . . **rs. 1.**
Półrocznie . . . . . **rs. 2.**
Rocznie . . . . **rs. 4.**

Niską tę cenę pomimo zwiększenia kosztów wydawnictwa, utrzymujemy bez zmiany, aby prenumeratę pisma uznanego już w swej użyteczności, zrobić przystępną dla każdej rodziny.

Adres do **J. K. Gregorowicza, Redaktora Tygodnika Mód i Powieści i Przyjaciela Dzieci, w Warszawie ulica Elektoralna Nr. 779 (41 nowy).**

Przyjaciela Dzieci Nr 50 wyszedł z druku i zawiera:

Na wsi (wiersz) Pogadanki historyczne. — Mamut (z drzeworytem). — Śmierć Wandy (z drzeworytem). — Różyczka. w Dodatku: Na dworskim chlebie.

Prenumerata wynosi kwartalnie:

w Warszawie kop. 75 — z przesyłką pocztową rs. 1.

Adres: Do **J. K. Gregorowicza.** *Ulica Elektoralna Nr. 779 (nowy 41).*

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się dodatek z drzeworytami.

SPROSTOWANIE.

W N. 49 Tygodnika, w rubryce Przeglądu literackiego, na str. 584, w połowie pierwszej szpalty, zamiast *moralnych* powinno być *mozolnych,* a w połowie drugiej szpalty zamiast *luźne* należy czytać *liczne.*

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 23 Ноября (5 Декабря) 1876 г. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna Nr. 758 (28)

Dodatek.



N. 1. Chusteczka trójkątna z jedwabnej krepy. Patrz ryc. 2.

Opis do N. 50.

(Dokończenie.)

N. 5. Toczek z długim woalem.

Skromne lecz zręczne ubranie czarnego filcowego toczka upięte z jest welonika z gazy lub jedwabnego tiulu, koloru cardinal lub indigo, mającego 220 cent. długości a 30 szerokości, który składa się w drobne fałdki, opasuje główkę, podpina z tyłu piórami w dwie sute bufki i puszcza w długich końcach. Zarzucenie tych końców na ramiona, związanie lub udrapowanie naokoło szyi wymaga osobistej zręczności, ale dobrze upięte bardzo robi do twarzy.

N. 6. Serweta na komodę. Haft i robota nakrapiana.

Tło stanowi pika, płótno lub t. p. materyał biały, szary lub żółtawy; szlaki odznaczone tasiemką 2 cent. szeroką, ściegiem cierniowym przyszytą. Nakrapianie można odrobić tuszem chińskim, sepją lub kolorową farbą; modnie i ładnie będzie się przedstawiać na tle białem nakrapianie tuszem z żyłkami i cieniami wyszytemi nitką ponsową; tasiemeczka w szlaku może być szafirowa przyszyta pąsowym jedwabiem; na ryc. 6 szlaki są naszyte dwoma rzędami tasiemeczki, środkiem zaś na 3 cent. odstępu zostawione białe zupełnie nie nakrapiane tło. Można także dać czarne nakrapianie i tasiemeczkę na tle piaskowem. Frendzla robotą wiązaną *macramé* wykończona jest podług ryc. 20 w N. 48.



N. 3. Kreza i żabot z koronki.

N. 8. Czepek nocny robiony na drutach.

Wykończony z włóczki białej angielskiej, robotą na drutach zwykłym patentowanym ściegiem, składa się z trzech części obrobionych oddzielnie, z których środkowa jest zupełnie prosta a dwie boczne trochę zaokrąglone; każda z bocznych części zaczyna się od dołu na 36 o. Dla otrzymania potrzebnej formy robi się najpierw w 1-szem i 2 rzędzie po 10 o., dalej w 3-cim i 5 przybiera po 4, w 7-mym i 9 po 9 z początkowych oczek; następnie przybierane są wszystkie pozostałe oczka i przerabia się 28 razy. Tylny trochę zaokrąglony brzeg utworzy się skoro w 6, 12, 18, 24, 30, 36, 42, 48, 54, 58, 62, 66, 70, 72, i 74,



N. 2. Chusteczka z krepy jedwabnej. Patrz ryc. 1 i ryc. 12.

N. 7. Poduszeczka do igieł.

Materyał: Sukno i kaszmir w dwóch kolorach, takiż kordonek sutasz, podszewka, otręby lub opiłki żelazne.

Odpowiednio do tego czy ma służyć do igieł i szpilek czy do przypięcia roboty, poduszeczkę nasypuje się otrębami lub opiłkami. Zwierzchnie pokrycie stanowią dane naprzemian kwaterki z czarnego i pąsowego sukna. Wierzch wysłany watą wypukło ozdobiony jest na środku ładnym lawowym guziczkiem; boki pokrywa pas pąsowego sukna, wyszyty czarnym i pąsowym kordonkiem; z dwóch stron przeciwległych dodane uszka do podnoszenia poduszeczki. Przy zszyciu wierzchu z bokiem dany sutasz przykrywający szew, po nad nim rzędem wpięte są szpilki, wsuwane po łebki; gwiazdki i punkciki odznaczone również szpilkami.



N. 4. Kapelusz filcowy z rondkiem wywiniętem.

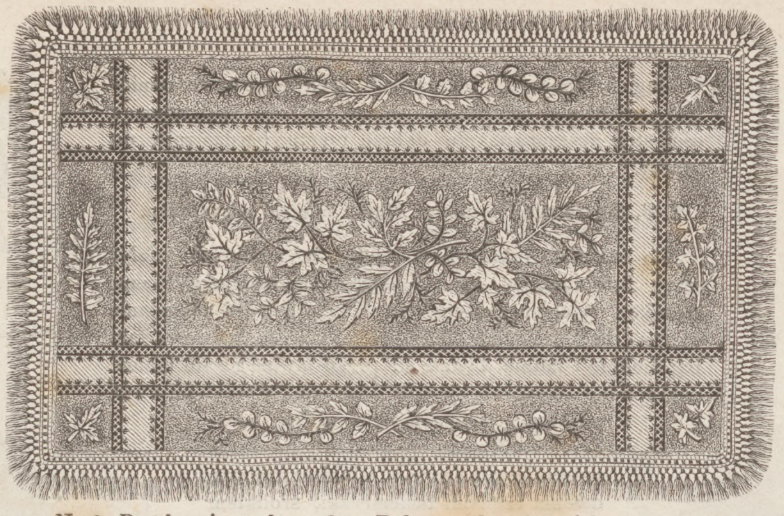


N. 5. Toczek z długim woalem.

rzędzie (licząc po przerobieniu 28 całych) idącym od ręki lewej do prawej na początku rzędu po pierwszem o. zdjętem przybiera się jedno oczko. W każdym z 14 następujących rzędów gubi się jedno przed ostatniem lub po pierwszem o. w rzędzie; 7 pozostałych o. zakończa się łańcuszkiem. Dla zupełnego wykończenia części bocznej potrzeba przy zaokrąglonym brzegu tylnym nabrać oczka na drut (tak jak nabiera się na piętę) i przerobić trzy razy tam i napowrót. Część środkowa na 22 o. szeroka przerabia się 184 razy; po skończeniu trzy te części łączą się z sobą szwem od spodu. Z przodu obrabia się szlaczek w ażurowe dziurki do przewleczenia kolorowej wstążeczki, po za nim dane są matowe jak na ryc. 8 lub ażurowe ząbki. Do związania służą końce z wstążki kolorowej.



N. 8. Czepek nocny robiony na drutach.



N. 6. Przykrycie na komodę. Robota nakrapiana i łatwy haft. Frendzlę podaje ryc. 20. w N-rze 49.



N. 7. Poduszeczka do szpilek lub do przypięcia roboty.

N. 9—11. Czepeczek negliżowy.

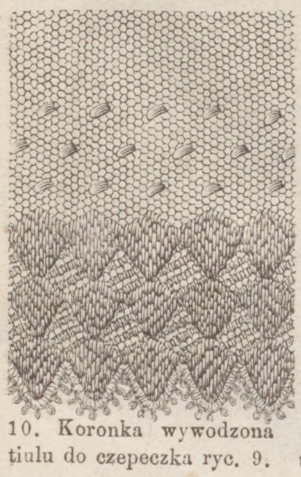
Praktyczny w noszeniu i łatwy do prasowania czepeczek ma denko muślinowe, owalne, 48 cent. długie, 42 szerokie, podszyte na 2 cent. odstępu od przepniego brzegu i z boku a na 8 cent. z tyłu, dwoma listewkami w które włóczy się wstążeczki do ściągania, Brzeg po zmarszczeniu układający się nakształt falbanki a z tyłu tworzący karczek oszywa się 4 cent. szeroką koronką. Do przybrania użyta blado-niebieska wstążka 4 i 6 cent. szeroka. Rycina 10 i 11 załącza dwa wzory koronki wyszytej na tiulu, lub odrobionej na drutach (jak na ryc. 12).



N. 13. Patarafka lub serwetka. Haft na płótnie. Torsadkę podaliśmy na ryc. 17 w N-rze 49.

N. 13 i ryc. 17 w N-rze 49. Serwetka lub patarafka. Haft wenecki.

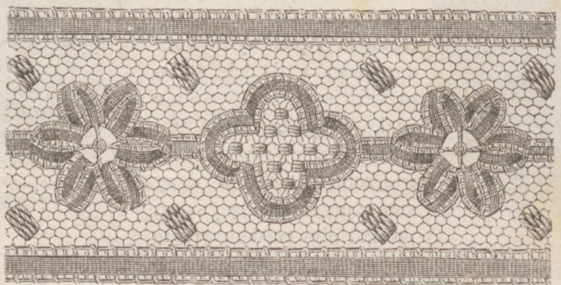
W dawniejszych N-rach Tygodnika opisywaliśmy szczegółowo i załączali desenie niezmiernie efektowego haftu weneckiego, który łączy w każdym nawet małym wzorze różnorodne rodzaje ściegów. Rycina 13 przedstawia w naturalnej wielkości deseń na maleńką serwetkę lub na patarafkę; do wyszycia wzięta bawełna turecka koloru indigo, dobra do prania; tło może być białe lub piaskowe. Otoczenie brzeżne stanowi torsadka robotą wiązaną (macrame) podług ryc. 17 w N-rze 49; potrzeba do niej 10 nitek z których dwie służą za podstawę środkową; każdy ząbek liczy 20 węzełków.



N. 10. Koronka wywodzona na tiulu do czepeczka ryc. 9.

N. 14. Kapelusz z granatowego aksamitu.

Formą okrągłej czapeczki, odpowiedni dla młodych osób ma rondko 5 cent. szerokie, podszyte materyą cardinal i złożone w kontrafałdy. Otoczenie główki stanowi suta i szeroka riusza z siepanej niebieskiej materyi; z boku, więcej ku tyłowi przypięte dwa strusie niebieskie pióra, z pod których wysuwają się pukle cardinal.



N. 12. Wszywka wyszyta koronkową tasiemeczką na tiulu, do ryc. 2.

N. 15. Kapelusz czarny aksamitny.

Ma rondko płaskie podszyte od spodu plisowaniem z jedwabnej krepy a zwierzchu przysłonięte rozrzucającem się plisowaniem z blado-niebieskiej materyi. Skośny kawałek aksamitu, podszyty niebieską materyą, 8 cent. szeroki otacza główkę i jest z przodu przewiązany w węzeł. Strusie pióra i białe róże dopełniają przybrania.

N. 16. Ząbki do ryc. 9 w N-rze 49.

N. 17 i 18. Koszyczek do robót.

Zręczny, owalny koszyczek pleciony ze złoconej trzciny, wyłożony jest od środka atłasem wiśniowym, zwierzchu zaś zdobią go lambrekiny, haftowane na białem suknie, podług ryc. 18. Łańcuszek i długie ściegi są wyszyte ponsowym kordonkiem, luźne nitki przedzielające ściegi są złote; kwiatki na każdej lambrekinie mogą być innego koloru, listki zielone złożonym skosem atłasowym. Kwaściki jedwabne, riusza i kokardy z wstążki 4 cent. szerokiej dopełniają przybrania.

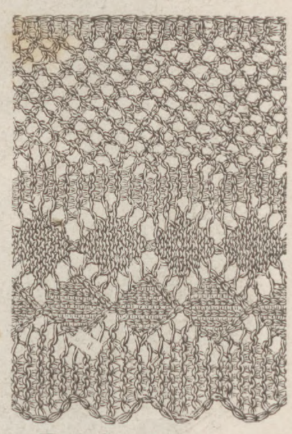


N. 9. Czepeczek negliżowy. Patrz ryc. 10 i 11.

N. 19. Poduszeczka na toaletę.

Krój i deseń podaliśmy na arkuszu z krojami do Nru 47 i 48; patrz Fig. 37.

Dwa kwadraty po 16 cent. długie, wycięte z sztywnym w cztery zęby podług Fig. 37 i prosty kawałek szyrtyngu 8 cent. szeroki, na otoczenie boczne, zszywa się z sobą i napełnia piaskiem lub trocinami przez otwór nie zaszyty, uważając aby wszystkie rogi równo były wypchane. To stanowi podstawę poduszeczki, pokrytej kolorowym, jedwabnym repsem; ażeby wierzch gładko i równo był wypukły potrzeba podłożyć go watą skropioną perfumami. Deseń gałązek niezapominajek haftowanym ściegiem płaskim przedstawia Fig. 37; blado-niebieskie kwiateczki mają dodane żółte środeczki; listki zielone cieniowane. Boki poduszeczki otoczone są skosem jedwabnym 24 cent. szerokim, złożonym w trzy płaskie fałdy. Sznur blado-niebieski jedwabny,



N. 11. Koronka do ryc. 9. robiona z cieniutkich nici na drutach.

spleciony z trzech nitek, przyczepiony w około zębów i przewiązany w cztery węzły z pod których wysuwają się kwaściki, ładnie i oryginalnie ozdabia poduszkę.

N. 20 i ryc. 13 w N-rze 49. Rękawek włóczkowy. Robota szydełkowa i na drutach.

Ciepłe i praktyczne w porze zimowej rękawki, odrabiają się z angielskiej włóczki na drutach, a zakończają szlaczkiem szydełkowym. Rękawek zaczyna się od góry na 72 o. i robi 2 o. naprzemian, 33 rzędów poczem następuje część środkowa licząca 77 obrobień, ściegiem gładkim. W 78 obrobieniu zagubia się oczka w równych odstępach, tak aby rękawek luźno wsuwał się na rękę i zakończa się robotę. Zakończenie szydełkowe obejmuje w pierwszym rzędzie na przemian 1 sł. i 1 o. pow. trzy następne rzędy robione dwoma kolorami składają się z o. śc. i o. pow, mijających się z sobą. Szydełkowe paski przedzielone są robotą na drutach złożoną z 9 rzędów (2 o. kr., 2 o. gł.); podrugim pasku roboty na drutach dodane są ząbki szydełkowe, których wzór załączamy na ryc. 13 w N-rze 49. W pierwszym rzędzie roboty idą naprzemian o. śc. i o. pow.; w drugim rzędzie dane o. śc. (zajęte za o. pow. poprzedniego rzędu) 3 o. pow. i znów 1 o. zajęte zato samo o. co i poprzednie.



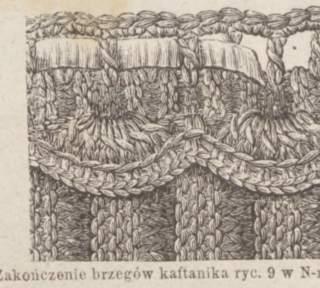
N. 14. Kapelusz z granatowego aksamitu.

N. 21 i ryc. 12 w N-rze 49. Kamasz dla dziecka. Robota na drutach i szydełkowa.

Kamasz robi się z włóczki angielskiej w dwóch dobrze odróżniających się cieniach, której potrzeba 70 gramów na parę. Robotę zaczyna się od zwierzchniej, niby na guziki zapiętej części dolnej, wzdłuż na o 56, obrabia się oczek 24 a od 4 następnych zaczyna się klinik któren robi się poprzecznie przybierając 1 o. w każdym do lewej ręki idącym rzędzie. Gdy dojdziemy do 9 o. klinika obrabia się 25 razy tam i napowrót przez wszystkie oczy na część tylną, a następnie dodaje klinik z drugiej strony, zaczęty od o. 9 a skończony na 4; poczem spaja się kamasz z lewej strony. Górną część czyli cholewkę zaczyna się oddzielnie kolorem ciemniejszym i robi w koło ciągle, dwa o. gł. 2 kr. razy 34. Poczem zaczyna się szlaczek w którym na tle jasnem gładkiem są listki ciemne, w 3-ch początkowych rzędach idą na przemian 3 o. jasne 3 ciemne, w dwóch następnych o. ciemne posuwają się o jedno o. do lewej strony, w rzędzie 6-tym 5 o. jasnych a 1-no ciemne pod ostatniem w rzędzie poprzedzającym, rząd 7 cały ciemny. Drugą stronę listków robić w odwrotnym porządku, a dwa ostatnie obrobienia jasne. W cholewce idą naprzemian 3 obro. kręte ciemne, 3 jasne gładkie; dla nadania potrzebnej formy, od 27 obrobienia co 10—12 obrobień gubi się 2 o. w odstępie paru o. jedno od drugiego. U dołu powtarza się szlaczek, zakończa cholewkę i przyszywa z lewej strony do części dolnej, którą obrabia się w sposób na ryc. 21 wskazany, ząbkami szydełkowemi, podług próbki ryc. 12 w N. 49. Guziczki naśladujące zapięcie przyszywają się wraz ze szlaczkiem szydełkowem, na spojeniu kamaszy, które powinno zawsze wypadać na zewnętrznej stronie nogi.



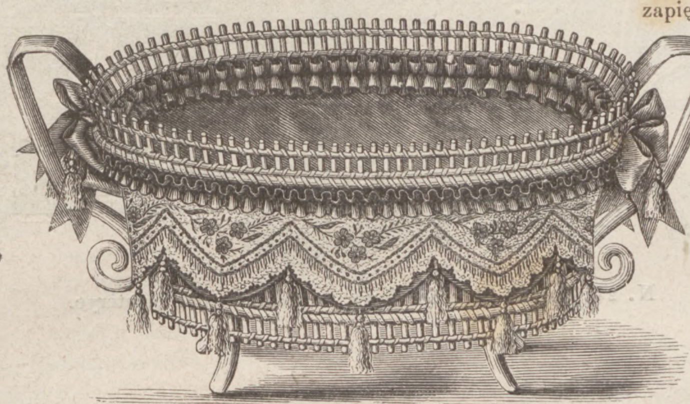
N. 18. Lambrekina do koszyczka ryc. 17.



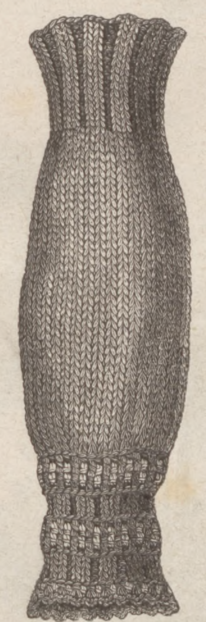
N. 6. Zakończenie brzegów kaftanika ryc. 9 w N-rze 49.



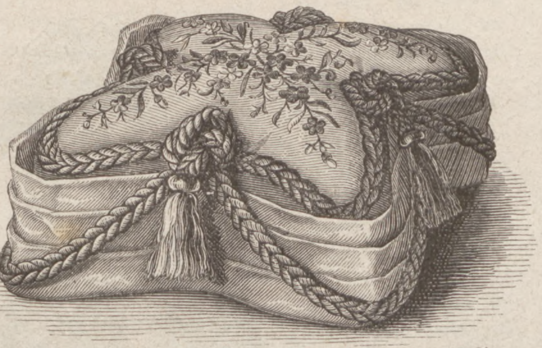
N. 15. Kapelusz z czarnego aksamitu.



N. 17. Koszyczek do robót zdobny lambrekinami. Patrz ryc. 18.



N. 20. Rękawek. Robota na drutach i szydełkiem. Patrz ryc. 13 w N. 49.



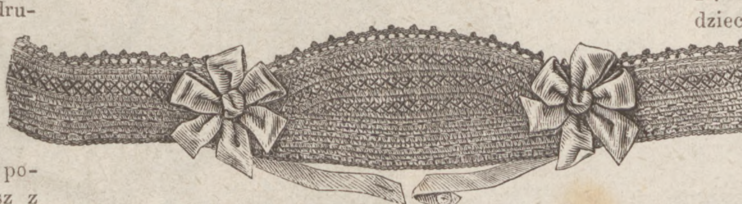
N. 19. Poduszeczka na toaletę. Krój i deseń podaliśmy w dodatku do N. 47 i 48. N. VIII, Fig. 37.



N. 21. Kamasz dla dzieci. Robota na drutach i szydełkowa. Patrz ryc. 12 w N-rze 49.

N. 22 i ryc. 14 w N. 49. Pas dla dzieci zaczynających chodzić. Robota szydełkowa z podkładaniem sznurka.

Pas robiony o. ścisłemi. na sznurku średniej grubości; z bawełny szarej i ponsowej N. 6; ma 127 cent. długości, z brzegów 5, a w środku $8\frac{1}{2}$ szerokości. Sposób roboty i wyszycia wskazuje dokładnie próbka ryc. 14. Tło jest szare a wyszycie i ząbki ponsowe. W końcach środkowej stopniowo rozszerzonej części, przyszyte są dla ozdoby rozety z wstążki $2\frac{1}{2}$ cent. szerokiej, a od spodu podszywa się kawałki mocnego gordu, 3 cent. szerokie a 11 długie, które z tyłu zapina się w pasie na guziczek. Długie zaś zwierzchnie konce szydełkowe, służą do prowadzenia dziecięcia, jak to widzimy na ryc. 29.



N. 22. Pas dla dziecka próbującego chodzić. Patrz ryc. 14 w N-rze 49.

N. 23. Krótka spódniczka. Robota na drutach i szydełkowa.

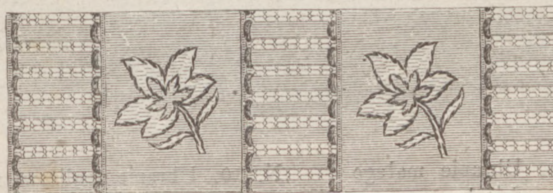
Spódniczka 78 cent. długa składa się z 5 brycików, z których przedni ma w górze 30, u dołu 56 cent. szerokości, kliny tylko z jednej strony



N. 23. Spódniczka. Robota na drutach i szydełkiem.



N. 25. Spódnica do ryc. 29 w N-rze 49.



N. 24. Wyszycie na materyale w pasy ażurowe, do ryc. 15 w N-rze 49.



N. 26. Ubranie balowe z kirasowym stanikiem. Patrz ryc. 2 w N-rze 49.

skośnie 12 górnej a 29 dolnej, a 2 proste tylne bryciki po 20 cent. szerokości. Tło robione jest wpodłuż z wełny białej, ściegiem przy ryc. 10 w N. 49 opisanym, podług formy dokładnie z papieru wyciętej. Pierwej jednak zrobić szlak dolny, dowolnej szerokości, albowiem bryciki są podług niego skrócone. Na modelu dolna szerokość spódniczki wynosiła 154 cent., środek szlaku robiony na drutach w poprzek miał 7 1/2 cent. szerokości; na początku druta zawsze 1-sze o. zdejmuje się a ostatnie robi gładko. Na szlaku wyszywa się następnie gwiazdki włóczką pąsową i niebieską, a brzegi z dwóch stron obrobione są po 8 razy szydełkiem, o. ścisłemi, ściegłem karbowanym. Bryty łączy się szydełkiem o. ści., włóczką pąsową, dół obrabia ząbkami, a w górze wszywa się spódniczkę w pas z szyrtyngu, z przodu w ząb zcięty.

N. 24. Szlak do ryc. 15 w N. 49.

N. 25. Spódnica do ryc. 29 w N. 49.

N. 26. Ubranie balowe. Opis i krój przy ryc. 2 w N. 49.

N. 27. Balowe ubranie głowy i rozmaite ozdoby toaletowe.



N. 27. Balowe ubranie głowy; rozmaite modne biżuterye.

Ryc. 27. przedstawia z przodu a ryc. 2 z tyłu, najmodniejsze balowe ubranie głowy, przyozdobione małym wianeczkiem z róż, odpowiedni bukiecik przypięty z boku przy bercie. Na szyi na gładkim łańcuszku złotym, medaljon odznaczający się nowym kształtem.

Ale teraz przypatrzmy się różnym ozdobom umieszczonym pomiędzy gałązkami otaczającemi ryc. 27. W górze na prawo widzimy ładny, niezwykły medaljon z matowego złota; niżej krótki łańcuszek do zegarka, którego podłużne matowe i świecące złote ogniwa, spajane są kółeczkami z polerowanej stali. Zupełną nowość stanowi u dołu przy różach rzucona bransoletka w kształcie zwiniętej w kółko szpicruty złotej. Na lewo u dołu zawieszona na gałązce inna bransoletka w kształcie dwóch polerowanych mocnych i szerokich złączonych pierścieni, z których jeden ozdobiony dyamentem, drugi rubinem. W środku wachlarz z piór białych oprawnych w kość słoniową i grzebień szyldkretowy nowego kształtu z wysoką gładką główką.

(dok. nast.)



N. 28. Sukienka z paletotowym kaftanikiem dla panienki lat 10—13.

N. 19. Ubranie małego dziecka.

N. 30. Ubranie negliżowe formą princesse.

N. 31. Sukienka z vêtement formą princesse dla panienki lat 9—11.

Opis do N. 50.

(Dokończenie).

N. 28. Sukienka z paletotowym kaftanikiem, dla panięnki lat 10—13.
Krój można dobrać na poprzednim arkuszu.

Ubranie to złożone ze spódniczki, bluzkowego staniczka długiego kaftanika, odszyte z granatowego dyagonalu i przybrane podług ryc. 28 czarną wełnianą taśmą, przerabianą w deseń i kokardami z czarnej, repsowej wstążki 5 cent. szerokiej. Kaftanik dopasowywa się podług kroju załączonego przy ryc. 35—36 w N-rze 48.

N. 29. Ubranie małego dziecka.

Sukieneczka z białego kaszmiru naszyta dwa razy pliską kolorową; kieszonki, karczek, rękawki, pasek i szarfa dodane z kolorowego kaszmiru lub materyi.

N. 30. Ubranie negliżowe.

Przykrojony podług formy princesse, bez zaszewek z przodu negliż może być uszyty z materyału wełnianego lub z flanelki, na szwach dodane wypustki ze sznureczkiem. Z boków przy wcięciu stanu na szwie wszyte są szarfy, po 30 cent. szerokie a 110 długie złożone wązko, związane z tyłu i spuszczone w długich końcach. Sute przybranie dodane wzdłuż przodów zapiętych na haftki, ułożone wachlarzowo z plisowania 8 do 10 cent. szerokiego, przepinane jest kokardami z wstążki. Kieszonka złożona w kontrafałdę ściśle zebraną u dołu, wymaga kawałka materyału 40 cent. szerokiego, 33 długiego w środku a 18 z brzegów. Negliż jaki przedstawia ryc. 30 jest z popielatego dyagonalu, ma szarfy, kołnierzyk, wypustki, mankiety i plisowanie z niebieskiej alpagi.

N. 31. Sukienka z vêtement formą princesse dla dziewczynki lat 9—11. Krój vêtement dopasować można podług form podanych na arkuszu do N. 47—48.

Wykończona jest z materyału wełnianego w dwóch cieniach; skromne przybranie składa się z plisowania w połowie przestębnowanego u dołu zaś puszczonego luźno, które przy sukni liczy 8, przy vêtement 6 cent. szerokości i z riuszy 5 cent. szerokiej, zakończonej z brzegów nagłówkami. Vêtement zdobne jest riuszą, przechodzącą na kształt epolet przez ramiona; zapięcie może być tylko odznaczone środkiem pleców. Kieszonki oszyte podwójną wypustką i riuszą zakończoną kokardą.

Дозволено Цензурою.

Opis do N. 50.

(Dokończenie.)

N. 28. Sukienka z półdiagonu [illegible] dla panienki lat 12—13.
Krój można dobrać [illegible] w poprzednim arkuszu.

Ubranie [illegible] Bluzkowego stanika i długiego kaftanika [illegible] diagonalu [illegible] 28 [illegible] i kokardami z czarnej [illegible] — Kaftanik dopasowywa się podług trzech [illegible] rys. 35—38 [illegible] 48.

N. 29. Ubranie małej dziewczynki.

Sukienczka z białego [illegible] kaszmiru [illegible] rzędy płaskie kolorowej [illegible] i szarfa [illegible] z kolorowego kaszmiru lub materyi.

N. 30. Ubranie angielskie.

Przykrój podług [illegible] z prążki [illegible] wełnianego lub z flaneli [illegible] [illegible] Z [illegible] na szarfę [illegible] 20 cent. szerokie a 110 długie złożone [illegible] w długich [illegible] [illegible] zostało [illegible] na [illegible] [illegible] do 10 cent. szerokiego [illegible] jest kołnierz z [illegible] w [illegible] [illegible] 10 cent. szerokiego, 33 długiego [illegible] a 48 z brzegów. [illegible] rys. 30 [illegible] na szarfy [illegible] [illegible]

N. 31. Sukienka z [illegible] dla dziewczynki lat 9—11. Krój [illegible] dopasować można podług form podanych [illegible] do N. 17—18.

Wykonaną jest z materyału wełnianego w dwóch [illegible] [illegible] [illegible] z [illegible] u dołu [illegible] [illegible] 8 [illegible] 6 cent. szerokości i [illegible] 3 cent. szerokich [illegible] z brzegów [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] wypustką i [illegible] kokardą.